

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

MELCHJOR WAŃKOWICZ

N A M I E D Z Y M O R Z U

Dn. 17 września 1939 r. długi sznur czołgów jechał ze zachodu. Ludzie po ubożach drogi sądzili, że to polskie czołgi. Potem zobaczyli w wiozyczkach strzelniczych kałmuckie twarze. Potem usiłowali się ludzi. że to czerwona armia nadciągająca z pomocą. Czerwoni, „bojcy” potrafiący splecionymi rękami, usiłując wyobrazić gest bratersstwa.

Gdzieś były strzały. Mówili, że między naszymi i „ruskimi”. Szedłem w tym kierunku. Znalazłem trupa polskiego porucznika lotnictwa z raną w czole. Porucznik wystrzelał cały magazyn, jednego bolszewika zabił, ostatnią kulę poświęcił dla siebie. Trupa bolszewickiego wzięli Rosjanie. Przykłądem nad ciałem zmarłego, rozpiętym mundur. Dowody osobiste zabrali bolszewicy. Znalazłem rachunek sklepowy na nazwisko por. Szymańskiego.

Pisarz polityczny w. XVII, Grabowski, pisał: „Inne narodowie mają u swoich granic góry wysokie, morza niezgłębione. Polska — równa, nikomu niebronna. Wróg łacno komunikiem wnieść, wynieść z niej może, łupa, jeniec, ujęć nabrawszy”. Piersi jeno nasze a gardła — to są nasze góry, to morza, to fosy i wały i cała munia nasza”¹⁾.

Por. Szymański spotkał pancerny komunik i nalożył gardłem.

SKRZYDŁA

Przez wieki szybuje Polska na dwóch skrzydłach. Idea piastowska, umacniająca granice zachodnie, i idea jagiellońska, wyrabująca granice na wschodzie. Orientacje polityczne — piastowska i jagiellońska — różne różniami czasami się przeżywały. Ale jak ptak, któremu postrzębił jedno skrzydło, spada, tak Polska o jednej z tych koncepcji istnieć nie mogła.

Był czas, kiedy ten sam Chrobry wbił trąbę w dno Odry, aby pod wody grał u granic Polski, i szcherzył na branie Kijowa miecz, który stał się insygnium koronem. Potem w dziejach nie mieliśmy już takiego okresu aż do r. 1919, kiedy dzięki wysiłkowi Piłsudskiego i Dmowskiego i szerszej koniunkturze, postulat idea piastowskiej zostały wywołane u sprzymierzonych a jagiellońskiej — wyrabane u sąsiadów.

W tym artykule będziemy mówili o wschodniej granicy.

KTO MA SIŁĘ, TEN ZIEMIĘ TĘ DZIERŻY

Kiedy państwo Włodzimierza zalał najazd tatarski — u granie Rzeczypospolitej załęgł „no man's land”. Jest książka Natanson-Leskiego, poświęcona wschodniej granicy w toku dziejów. Kiedy się przegląda załączone kolorowe plany, widzimy, że przez całe wielkie płaty dziejów autor nie mógł inaczej wybrnąć, niż zaznaczyć linie graniczną szerokości, wielosetkilometrowymi płaciami. W aktach granicznych, określających granicę między Rosją a Polską, znajdujemy rozporządzenia: „o dubka krywoho”, „o haloje bolotko” i.t.d. Krzywy dąbek spróchniał do reszty, bagienko zarosło do reszty; wyszło i zdawałoby się, że znów niema żadnej granicy na „ziemi równej, nikomu niebronnej”.

Chan Selim Girej pisał bodaj do Zygmunta Starego, kiedy król polski rekrutował jakieś zakusy graniczne: „Daj spokój, bracie mój. Ziemia ta ni Twoja ni moja, jeno Boża. Kto ma siłę, ten ją i dzierży”.

Toteż przodkowie nasi mało się przejmowali obietnicami i gwarancjami. Literatura, która się rozwijała dookoła traktatu andruszowskiego, nie tai tego sceptycyzmu.

Nieszczeniści narodom nie było to lub inne oświadczenie Wschodu. Nieszczeniści narodomom były zagony Chowańskiego, rzec Pragi przez Suworowa, Tuhażewskiego pod Warszawą i 17 września 1939 r. To znaczy fakty, które powodowały, że byliśmy zabi w grze sił i że nie mogliśmy tej ziemi dzierżyć.

ZNAKI NA ZIEMI...

Kiedys mieli siłę — państwo Jagiellonów poszło daleko na wschód, obejmując 1 100 000 km, a wiec trzykrotnie więcej niż to cośmy mieli w r. 1939. Potem różnie bywało, granica oscyłała około swoich podstaw naturalnych: Dżwina-Dniepr. Znaki graniczne były takie lub inne, ale znaki dziejowe zawsze te same, wśród tych samych słowaków. Mielimy folwarczek dziesięciowłokowy nad Berezyną, do którego jechało się rozkopawać kurhany. Za mojej pamięci na tej małej przestrzeni było ich jeszcze 180. Starczy ludzie pamiętały, kiedy ich było 300. To nie były ementaryjskie jakichś osiedli. To były kurhany poległych wojowników, i którzy tym szlakiem ciągnęli od wieków i którzy bili się zawsze w tych samych miejscach. Z trzech kolo siebie leżących kurhanów wykopywało się szlifowany krzemieniu toporek, żula rzekał resztki misiurki i szablę napoleońska z duża garda.

A kiedy się szło dalej ku północy, — na Toloczn, na Orszę, — im więcej wzrzał się pas ziemi między złewiskiem północno-zachodnim i południowo-wschodnim, tem więcej zagęszczały się kurhany, ale wreszcie dochodziłms do wąskiego 80-kilometrowego pasa między Witebskiem na Dżwinie i Orszą na Dnieprze. Kiedyś zatykałem chorągiewki na miejscach dawnych pobojowisk od Chrobrego po Stanisława Augusta. Okazało się, że w branie witebsko-smoleńskiej było ich 28.

Tak, kiedy „dubek kriwoj” próchniał, „bolotko haloje” schło, a umyśli ludzkie były równie zawodne, równie krzywe, równie płytkie — ziemia trądem i świętością kurhanów mówiła swoją prawdę.

I jak ziemia w sobie tała treść prawdy granicznej, tak w sobie tały ja dusze ludzkie nierozumiana, niewypowiedziana do wąskiego 80-kilometrowego pasa między Witebskiem a Dnieprzem.

Dlatego, kiedy stałem na Broadwayu z pewnym dziennikarzem i na seraperze „New

York Times” pobiegły ogniste litery, powiadamiające o zajęciu Pragi przez Niemców, i współczujący dziennikarz powiedział, że naród polski powinien ugodzić się z Imperjum Brytyjskim i przenieść się np. do Kanady, wzruszylem ramionami, nie próbując dyskutować.

Bo co on wie...
Ojczyzna nie jest na kółkach.

MIEDZY OCEANAMI WSCHODU I ZACHODU

Do tego, w co wierzyli powstańcy i o czym wiedzieli ziemia, podszedł umysł ludzki. Świętyn geograf polski Nalkowski przyjrzał się tej ziemi suroweni oczami i w artykule „Polska” w „Słowniku geograficznym” ogłosił wyrok: „Jest to przesmyk wąski między olbrzymim lądem Eurazji a przylądkową Europą, przesmyk wąski między oceanami Wschodu i Zachodu, skazany na splukanie”.

Artykuł ukazał się w r. 1903 w ostatnim niejako roku rekolekcji niewoli. Bo już w następnym roku wybuchła wojna rosyjsko-japońska, i to narodzie poszedł wstrząs niepodległościowy.

Młodzi geografowie zabrali się do ustalania poglądu na położenie geopolityczne Polski. Badali faunę, badali florę, badali deszcze i wiatry, pytali nieba i ziemi. I dziwne z tego cenzurowanego przychodziły odpowiedzi.

Zając-bielak, zabrany w ilości kilkuset sztuk do lasów ordynacji Zamoyskiej, odpowiedział przesiadaniemu co o rok o parę gmin na wschód, aż znalazł się tam, skąd go przewieziono: w branie dżwisko-dnieprówskiej.

Pardwa, biełająca ku ziemie jak śnieg, podrywała się z furkotem i nie osiadała aż za linią kolei Lipawa-Romny.

Buk, odwrotnie, trzymał się Polski i nie chciał iść na wschód.

Klimat kontynentalny, okazało się, tylko wąskim języczkiem zapuszcza się gdzieś na Lwów, zostawiając resztę ziemi historycznej Polski w zasięgu oceanicznym, zachodnim.

Izobary i izoterm, pardwa, bielak i buk podaly recę „girlandom mogił stepowych”, które uderzyły wyobraźnię Słowackiego.

Ala nauka młodych geografów nie obalila tezy Nalkowskiego. Wprowadziła tylko pojęcie innej, szerszej ojczyzny. Bo cechy wspólne były przeważnie wspólne dla całego międzymorza ponneko-baltyckiego. Tutaj też do głosu rosił i zwierzał, do mowy emmur i świstu wiatrów, przykładał się szmer wody: węzeł hydrograficzny, potęga można, przystępował do unii Międzymorza.

I znówu zapomniane hasło, hasło Jagiellonów, wyglądające jak kipina w ustach megalomaniach podpiłych nienierobów szlacheckich, hasło „Polski od morza do morza”, przefiltrowane przez miedra szkiełko i oko, nabierało ponownej treści.

Nabierało ponownej treści poczucie Polaka, który czuł się obywatelom szerszej ojczyzny. Jakże miał tę szerszą ojczyznę budować, skoro, jako naród rolniczy, nie był skłonny do wypraw morskich i krucjat łupieżczych, któreby musiały żywić bezpłodną skalistą

ojczyznę? Budował więc jak go stać było — trzebiąc puszcze, orząc, siejąc i świecąc wolnością w głąb dzikich pól. Tak było od najdawniejszych czasów, jeszcze Leszka Białego, który siedemset lat temu, na propozycję papieską uczynienia krucjaty, odpowiedział, że woli nawracać pogańskich Prusów, fundując pośród ich osiedli składnice soli i żelaza.

Wschód cały garnął się do swobód jaśniejących z Polski.

To nie jest megalomanja. To jest stwierdzenie faktu, narzuconego przez geopolitykę. U dołu każdego stawania się jest zawsze przymus i starcie sił. Ale jednak daty: 1386 — Krewa, 1413 — Horodlo, 1569 — Lublin, jaśnieją w historii nie jako etapy zbrojnego podboju.

Potem po tej ziemi chodzili moiżni i chrześni, tak że nie słysząc było głosu dziejów. A gdzie każdy, który był w dole, bliżej zwierza polnego i ludu polnego, słyszał ten głos odzienia, w każdym dniu powszednim. Tam, gdzie wraz z mową polską budował się folusz, olejarnia, krocuchalnia, gorzelnia, cukrownia i tam, gdzie z mową polską przychodził do tej ziemi Bóg. Bo rzec charakterystyczna — chłop schizmatyki, umierając albo w chwili grożącego niebezpieczeństwa, wzywał Boga — po polsku. Pamiętam ementaryk prawosławny w kolanie Dżwini między Drują i Leopolem. Na kamieniu grobowym jakiegoś zamożniejszego chłopca, ornamentowanym po bizantyjsku podającą treść kirylicą, nagle w dole strzelał prosto cięty w kamieniu napis czołową łacińską: „Boże, zbaw duszę moją”.

Tamten napis kirylicą, informujący o imieniu, nazwisku, imieniu ojca, dacie zgonu, proszący o modlitwę — to był dla ludzi. A to było westchnienie — do czegoś poza-ziemskiego, do krajiny nieokreślonego marzenia i wolności, do Boga...

Powierzchniowy czytelnik może czytać to co piszę z uczuciem, że to jakieś anachronizmy, mile dla jednego, godne potępienia dla innych. Tak nie jest. Polska była bardzo słaba przez wieki ostatnie, a człowiek jest, powtarzający słowa wymagające siły, jest śmieszny.

A jednak nie był śmieszny Norwid, kiedy pisał:

*Dzięki Ci, Ojcie ludów, Boże,
Ze ziemie wielką dałeś nam i nagę,
Nie osłonięty gór dzikich przewagą,
Nie bramowaną w niezgłębione morze,
Lecz jako piersi otworzone Boże...*

Nie dlatego nie był śmieszny, że poeta może ładnie a nieodpowiedzialnie marzyć. Nie był śmieszny przez mus geopolityczny. Kiedy sprawa, że politycy muszą realnie myśleć o środkach praktycznego działania, z rozpaczą niechęć dochodzą do przekonania, że „Polska jest skazana na wielkość”.

Bo słowa Nalkowskiego są prawdą, jeśli myśleć o samodzielnym placku ziemi, bezsensownie wyciętym i będącym w kłótni z ludami Międzymorza. Tylko wielka myśl historyczna może być gwarantką naszej wolności. Jesteśmy wstrzymani w rozwoju

przez niewolę, przez wadliwe uwarstwienie, przez dziejowe fale zniszczeń ekonomicznych, przez przekleństwo parciejacej kultury szlacheckiej, która defiguruje warstwę górna w Polsce i wszystkie rządy, jakie ta warstwa wyłania, czy za Sasów, czy w r. 1831, czy przed r. 1939, czy po r. 1939. Pewno, że z temi obciążeniami wolelibyśmy jednak żyć w spokojnym kącie świata, w którym takie czynny, jak Gdynia czy COP, dałyby pełne prawa do zastawionego stołu, spokojnego smu i renty. Ale cóż, kiedy rację miał prof. Bujak; przyszedł do mnie w płuche, a odstawiając kalosze i ociekający parasol, dziwił się, co tym przodkom naszym do głowy strzeliło, aby właśnie na tych przedmuchiach się osiedlać: „... Bo to ani klimat nie zachęcający, ani sąsiedzi nie do pozazdrośczenia...”

Placimy za to wielkimi brakami: megalomanja, strasliwa i łatwa polską megalomanja, marzycielstwo, nierańsłość. Ale bez tego trudnoby było żyć w dniu codziennym w kraju słabym a skazanym na wielkość.

Ocean Wschodu nieustannie bije o ziemię polską. Kordon celny, który ma zdławić Polskę po powstaniu r. 1831, to nie innego niż linja demarkacyjna niemiecko-rosyjska z r. 1939 albo wypowiedzi rosyjska z r. 1943.

Zyłka 50 000 elity polskiej, konfiskata 6 milionów morgów po powstaniu r. 1863, to też wymowne analogie.

I kiedy zabory malowali mapy jak cheieli — ziemia, ta ziemia, która trzyma sojusz z ptaectwem polnem, ze zwierzem leśnym, z rosinami, z wiatrem, z deszczem i z mogiłami — znnowu powiedziała swoje słowa: równo-czesna z powstaniem reforma rolna zatrzymała się w swojej rosyjskiej formie u granie pierwszego rozbioru. T. zw. „mir”, t.zn. wschodnia forma beznidwidualnego wladania, nie przeszedł Dniepru.

Aż wreszcie nadszedł czas, że z topieli dwóch oceanów ponownie poczęł wyłaniać się ląd Międzymorza. Odzyskały niezależność państwa baltyckie, Rumunja wróciła do Besarabji, Polska zaś przeszła uciążliwą wojnę o granicę wschodnią (1920).

W tej wojnie należy odróżnić dwie postaci: kiedy miała charakter lokalny i kiedy była walka o byt całej Polski, dla której przystępował rząd Marchlewskiego. W tej drugiej fazie, naturalnie brał udział kół żyw. Ale w r. 1919 o wojnę kresy walczyli swoi ludzie. Ostatecznie trzeba było się charatać i z Niemcami i z Czechami. Wice orlecia Iwoskic, to były dzieci Malopolski, a dwyrzja grodzieniska, oddziały Dąbrowskiego, Jąworskiego, Balachowicza, jazda tatarska, potem zaś korpus Żeligowskiego, to były „dzieci” tej ziemi, odrzywanej teraz od Polski.

Byłm na pancerce „Śmiały”, która poszła na odsiecz Lwowa. Widziałem wstrząs tego miasta, oczy wierne po każdym osiedlu, nase uszyne na każdym peronie, zgony tak przeczne, jasne i szczęśliwe, jakby ci ludzie odchodzili w zaświaty w objawieniu, w ekstazie.

Mówią, że to Sienkiewicz obronił Lwów.

Jeśli tak, to na północno-wschodnich kresach dzierży obronę piewca „ziemi mało-wanej zbożem rozmaitem”.

Wilno budziło się do życia ponownego tak spokojnie, jak spokojne i równe się światło słoneczne na tej ziemi. Kiedy Wielki Książę w pamiętnej odezwie do Polaków mówił o spełnieniu marzeń dziadów, kiedy generalissimus niemiecki w czasie tamtej wojny rozplakatował odezwę, nazywając Wilno „perłą Korony Polskiej”, Wilno odpowiedziało jak szlachcianki chodzące w umizgi: „At!”...

Ala kiedy pokazały się pierwsze patroly polskie, cały kraj powstał w wielkim bicie serca, z czynną pomocą, z czynną wiarą. Ludność niekatolicka stała nauboczu. Ale w jej oczach (nie mówię o Ukraińcach, którzy poczynali dojrzewać do następnego szczebla Międzymorza) nadchodzące wojska polskie nie były okupantami, tylko kontynuatorami naturalnego porządku rzeczy.

A ludność polska... Mój Boże, byłem w Wilnie, kiedy bolszewicy już mieli nas wyprzeć, już byli na Śnipliskach. Rozporządza! żołnierze co do jednego poszli na pozycję, a w mieście nagwałt zbrojono cywilów. Pamiętam, jak każda szkrzynia z bronią była rozchwytywana przez ludność. Jak z bram domów wyłaniały się kobiety ze sierkami w rękach, odcyszczały karabiny z wazeliną, jak płynął nieprzebrany tok wiktualów, jak starzy ludzie gorączkowo pracowali z siekierami przy skrzyniach, jak dorozkarcie napraszały się by bezpłatnie wieść świeżo uzbrojonych na miejsce przeznaczenia.

Niemia słowa i niema dostatecznej miary na oddanie tej zapamiętałej wierności, tego ukołowania ponad wszystko, tego nie pytającego o nie poświęcenia. Byłem w Kownie natyehmiast po pogromie tamtejszego P.O.W., kiedy Niekras umierał w więzieniu, kiedy w każdej znajomej rodzinie nie dolizcano się kogoś bliskiego. To dziwna ludność, która nigdy nie wpada w depresję, która niepośpiesznie — trwa.

COŚMI UJRZELI?

Długo cwałowały konie kawalerskie, mimo niejednego krzywego dębuszka i przez niejedno przerosnięte blotko. Aż wreszcie stanął traktat ryski i poza granicami nowopowstałego państwa pozostało 235 000 km² terytorium z czasów traktatu andruszowskiego vel pierwszego rozbioru i pozostało ponad milion polskiej ludności.

Zapaliłmsi dawne światła — uniwersytet w Wilnie, liceum Czackiego w Krzemieniu — i poczęli się rozglądać.

Było ciężko. Przed wojną z Polski emigrowało do 300 000 rocznie na stałe i do 600 000 sezonowo. To się zamknęło. Ziemi było coraz mniej, ludność wzrastała gwałtownie. Obeena wojna nas zastała z 2 milionami gospodarstw karłowatych, t.zn. z 8 milionami ludności ogarniętej ukrytem pół bezrobociem.

W Niemczech na hektar roli wypadalo zawodowo czynnych 34 osoby, we Francji — 25, u nas — 45. A przecież dosyć pomyśleć, że kiedy w Danji z jednego hektara roli, z hektara najwydatniejszego na świecie, żyje 0,4 osoby, na polskich ziemiach, będących w wielokrot muijszej kulturze, żyć musiało 1,1 osób z hektara. A przecież na ten seisk

Trzeba raz na zawsze wypełnić słowo wzniósłe, jedno z piękniejszych w mowie człowieka: realizm, jeśli ma oznaczać samolubną ślepotę i sobowarską wygodę. Trzeba „realistow” tej rasy pętnować jak oszustów, jak uziurpatorów. Trzeba wytracić, niby robotnow, rozpowszechniony gatunek narodowego zniecierzenia — entuzjastyczny przeświadczenie optymizmu, skłazać na wymarcie gatunek krótkowidza i człowieka bez pamięci, człowieka nieczułego na głos plemiennego sumienia. Trzeba otoczyć pogardą rodzaj gyszka, glosiciela „krzepy narodowej”, parafazjanskiego mowotwócy — wygnac ich wszystkich razem na tolukowsko, by się zalokowali, zakłali na śmierć.

Musi się w tej zniechęceniu do tej ziemi, w której jest twój grób samobójczy, uczynić religję: trudną, twarą i smutną. Musi się w tej zniechęceniu, otwartą na niedolę ze wszystkich stron, jak dom bez ścian, natężyć strasliwa, uparta pokora, strasliwa, nieugięta wola, może płynąca ze słabości, siła najtrudniejsza i — najtrudniejsza, jedna, która ma obietnicę ostania się pod niebem.

Niech już nigdy nie wróci twoja wiara, Edwardzie, i twoje kosztowne złudzenie — jak wszędzie. Niech będzie zapomniane na zawsze, byś wreszcie mógł usnąć. I hasło czuwających niech będzie: jak nigdzie lub inaczej. Lepiej. Czyściej. Piękniej.

Jest tylko jeden wybór. Jedno tylko: albo — albo. Albo na tem tragicznym międzymorzu uszczepi wrośniemy rozpaczliwą, korzenistą, bezradną wolą przetrwania, każdą grudek ziemi trzymać będziemy w ręce, aż do ostatniego kawałka. Albo będziemy do ciotu i ślad tylko zostanie na dnie, czysty poeom i uczonym. Albo będziemy strasliwymi dzieł i noc, albo jeszcze raz padniemy, by nie powstać. Albo odmiennym ten obszar ziemi w warstwą pracy i kucniej dobra, albo będziemy wypożyczyli za morza ludzi, jak pnie drzewne, gotowe do budowy cudzych domów i dobre na krzyże cudzych mogił. Albo stanemy się wrotem szwatu dla własnego ratunku, albo będziemy nadsławowami jego madości na własną zgubę. Albo będzie z nas promieniowała siła czysta, samdrżnuta, porządająca, albo zostaniemy sami wśród narodów Europy i narodów świata. Albo stać będzie nad tą ziemią jasność żywa i widzialna, będzie zewsząd, albo pokryje ją, jak Atlantydę, ciemność oceaniczna, ciemność ciemniejsza od nocy. Albo iść będzie od nas wolanie o nowy, lepszy kształt istnienia, albo zdławi nas padająca forma strachu, jak lawina zwierzących kamieni. Albo będzie pod niebo głos, śpiew chóru alchemików i będzie słyszany, słuchany z podziwem, albo umrzemy śmiercią nie-sławną, o której się nie mówi, której się nie pamięta.

Tak: albo — albo. I nie trzeciego. To jest prawda twoja i moja.

Widzę — patrzysz mi w oczy plonącemi oczami. I milczysz — niemy i bezsensywny pośrodku grobów, które dźwięczą, szumią, tętnią, jak dzwony, jak drzewa, jak żrda bijące z serca ziemi. Tylko kwiat czerwony kwitnie na skroni.

Wiem jeszcze i to: muszę sam dźwignąć tę prawdę — sam i słabszy o swoją śmierć i milczenie. I sam muszę ją nieść. Półki kiedyś kości twoich nie wyłuska na światło pląg tępizęcej czysto, jak brzoń spawiedliwa i orzec nie westchnia za ich spókoj i tem wstępniewiem nie pobłogosławił życzności nowiny.

Wtedy dopiero odchylił się czerwony kwiat od białej, kościanej skroni. I usniesz. I będziesz mówił jak inne groby.

¹⁾ Artykuł niniejszy ukazuje się w „Wiadomościach Polskich” z szeregiem skreśleń, dokonanych na życzenie cenzury brytyjskiej (przyp. red.).

²⁾ Nie mając książek — zarówno tę jak i inne cytaty, nazwiska i cyfry podaję z pamięci.

przeliskom adresowanym do Singapore, z którego tam sama dyktowała wracając do nas jako skrzynka z herbata, albo wspaniałe dyktele lotnicze, wybrane z tysięcy, badanej przy pomocy prześwietlania elektrycznego.

Drzewo uszlachetniały w przeróbce na tekturę. Kresy wyrabiały jedną trzecią tektury wytwarzanej w Polsce. Pamiętam, jak zwiadałem fabrykę tektury w Landwarowie, którą dzwignął ledwie piśmienny chłop prawosławny, majster przy młynach. Syn jego miał własną awionetkę, uczestniczył we wszystkich zawodach i wrażał w kulturę Międzyzdrojów bez reszty. Drzewo uszlachetniały, przerabiając je na celulozę, na bawełnę strzelniczą, na papier, na jedwab sztuczny.

Wszędzie powstawały gorzelnie, krochmalnie, olejarnie. Na ziemię, które leżały za linią demarkacyjną, przypadała jedna trzecia wytwórczości konserw owocowych całej Polski, jedna trzecia młynów.

W ostatnich czasach ruszyło się bekoniarstwo. Zwiadałem w powiecie lidzkim chlewnię Wagnera w Sołecznikach, licząc sześćset sztuk. Przed wojną na kresy przypadała jedna szósta polskiej wytwórczości bekonów. Tutaj szybko było się poszło. Na rok przed wojną byłem na otwarciu bekoniarń w Wiljeje.

Zbudowaliśmy 5400 km szos, zwiększyliśmy zapotrzebowanie elektryczności siedmiokrotnie.

Za czasów carskich młodzież w wieku szkolnym liczyła 74% analfabetów; zredukowaliśmy ten odsetek do 17%.

PONOWNY ZALEW

I znowu — zalew... Ribbentrop w wywiadzie powiedział: „Ile razy w historii Niemcy szły na Rosję, tyle razy było dobrze”.

Mielśmy na to poglądy równie wyrobione, jak zabory, i kiedy car i kajzer zjechali się w Warszawę, teatr polski wystawił wodewil „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje”.

Ale od tych czasów Rosja przeszła od białego caratu do czerwonego i sami Rosjanie poczęli myśleć, że to co innego. Major bolszewicki wyrażał zdumienie, że „w takiej chwili” ja, pisarz, człowiek ideowy, mógłbym marzyć o opuszczeniu Związku sowieckiego, jedynego miejsca na kuli ziemskiej, gdzie człowiek ideowy może czuć się dobrze. Poeta polski, próbując na mni przejścia nocą przez Dniestr, kiedy pierwsza próba nam udermiła strzał bolszewicki, na drugą nie wytrzymał, bo jednak... Bo może z Wielkich Łuków bliżej...

Co tam poeta... Kiedy wchodził ponury korowód 72 czołgów sowieckich na ziemię polską, chłopczyca kilkunastoletni, stojący ze mną przy drodze, wydobyl szkaplerz i całując go i trzęsąc się z entuzjazmu, szlochając: „Nareszcie Najświętsza Panińska wysłuchała modlitwy naszej. Będą bili Niemców”...

Cóż dziwne, że wyłaził na drugą noc z wody Dniestrowej, przez którą mnie przeprowadzili wyzwalani spod jarzma chłopów miejscowi, którzy nie przyjęli za przeprowadzenie zapłaty — skierowałem uważny wzrok na to, jak te nowe prawdy reprezentują się w Polsce.

Byłem przed wojną w Rosji, napisałem o niej książkę obiektywną; byłem zasugest-

jonowany, jak każdy niemal pisarz z Zachodu, istotnie przeobrażeniami Rosji. Spór szedł nie o te osiągnięcia, niewątpliwie dla rzetelnego informatora, ale o to, czy te nowe prawdy są wtłoczone w system, nadające się dla innego klimatu duchowego.

Ja przypuszczałem, że raczej nie, i dlatego nie zostałem w Kraju, ale miałem wątpliwości czy postąpiłem dobrze. Patrzyłem więc zazwyczaj na to, co się dzieje po tamtej stronie. Prasa bolszewicka miała debiet w Rumunji i pełna była wówczas reportaży ze „zdobytch” terenów. Zaczynałem się temi reportażami, pragnąc zobaczyć oblicze Polski, kulawej zwłaszcza na Międzyzdrojach, z jej całą słabością i w obliczu zadań ponad jej siły i na miarę historyczną. Pragnąłem na tę Polskę spojrzeć obcymi oczami i przez pryzmat innej ideologii.

Wysłannicy pism bolszewickich donosili... Z Czortkowa — że kobiety mogą wreszcie ukazywać się w dzień na ulicy. Za polskich rządów nie mogły. Bo zgraje polskich oficerów stale nosiły przy sobie żyłki, tnąc płaszcze i kostiumy. Był to taki ogólnie przyjęty sport oficerski.

W Kopyczyńcach — innemu korespondentowi — pokazywano chłopca, któremu policjant za to, że włożył koszulę haftowaną po ukraińsku (w takich koszulach chodziła np. cała Małopolska Wschodnia), wyciął szablą na skórze taki sam haft. Żeby choć sezyornikiem.

Wogóle szablę i hajducy grali poczesną rolę w tych korespondenckich.

Stary hrabia Siwłowski (?) w swym zamku w puszczy Białowiejskiej (?), na którego froncie była wyrwota rodowa dewiza „Mnie albo nikomu”, szablą porabiał przepyszne Rembrandty i Rafaela i nie miał nie lepszego do roboty, niż wobec zbliżających się bolszewików, kaligrafować na każdym roziecni obrazie: „Mnie albo nikomu”. Szablą była — są i hajducy. Mianowicie porozwalali stylowe meble i zaleli atramentem księgi z autografami Mickiewicza, Chopina... i Anatole’a France’a. Smutne resztki stara się zintwentaryzować dla muzeum ludowego chłop z pobliskiej wsi Rabieniec. Brat jego został powieszony przez hajduków za kradzież drzewa, i Rabieniec korespondentowi „Lwizestii” pokazuje sznur, na którym brata jego powieszono, a który to sznur hrabia na uragowo wisko mu przysłał.

Korespondent we Lwowie zaszedł do dwóch prostytutek. Thumaczy im, że jedna zostanie lekarzem, a druga inżynierem, i dziwił się płacząc za szczęścia.

Inny jeszcze informuje, że jedna trzecia części budżetu państwa polskiego szła na „razziysty złotom mundury”.

Mógłbym tak cytować bez końca. Natomiast nie udało mi się znaleźć ani jednego artykułu, w którymbym zobaczył Polskę cudziemi oczami, nie znalazłem ani jednego wiersza, dzwiczącego poczuciem swojej prawdy, którą rewolucja rosyjska wnosi na ostrach bagnietów. Ani jednego tonu „Przedwiośnia”, ani jednego prawdziwego głosu Micheła Żeromskiego. Nie — tylko papierowy szeleść załganej, zgłazgżałtowanej propagandy, ściągniętej na najniższy poziom potrzeb jakichś wojskowych „agitok”!

Zając-białek poprostu nie ma miejsca na Międzyzdrojach.

EUROPE EXPECTS ENGLAND—

by
Zbigniew Grabowski

Stron 48

Cena 1s. 6d.

do nabycia w księgarniach

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

9, New Oxford Street, London, W.C.1

31a, Castle Street, Edinburgh

W tej atmosferze ludzie z Międzyzdrojów mrują jak buki, któreby przesadzono do Rosji. Jasne jest: por. Szymanowski, który dn. 17 września 1939 r. ponownie oblał krwią granicę, walczył z tym samym wrogiem, z jakim walczyli jego przodkowie w r. 1863.

PRZESZŁE SPRAWY

Terytorium na wschód od linii demarkacyjnej obejmuje 51,6% całego terytorium Polski i 13 milionów ludności, w czem 6 milionów ludności polskiej. Te 40% ludności na wschodnich ziemiach stanowi polską przewagę nie tylko historyczną, finansową, cywilizacyjną, ale i liczbową, bo z pozostałych mniejszości — ukraińskiej, białoruskiej, żydowskiej, litewskiej, czeskiej, rosyjskiej, ormiańskiej i tatarskiej — żadna nie jest tak liczna. Gdyby zaś kto chciał wydzielić z tego jakieś terytorium ukraińskie i białoruskie, nie będzie tego w stanie uczynić — tak się żywił polski przemysł z temi narodowościami, jakie tworzy enklawy, języki i wyspy. Nie zapominać, że dzięki temu charakterowi rozrzuconego osiedlenia polskiego, milion Polaków zostało za granicami traktatu ryskiego.

Jest to nietylko pół naszego terytorium i dwie piąte ludności państwa polskiego i niemal czwarta część ludności polskiej.

Jest to prawie cała nafta, co do której zajmujemy drugie po Rumunji miejsce w Europie, jest to cały gaz ziemny, mający jak wykazały ostatnie lata, niesłychane znaczenie dla przyszłości przemysłowej, a w którym zajmujemy trzecie miejsce na kuli ziemskiej. Są to kamieniołomy węgla, są to te wszystkie przemysły i osiągnięcia rolne, o których pisałem wyżej, są to rzecznicze węzły komunikacyjne, pomiędzy Wisłą a Dniestrem, Niemnem i Dnieprem, są to bagna Polesia, na których można było osiedlić tyłu ludzi. Polska bez tych ziem, to strata wszelkiej obronności, to pozostawienie kikutu Polski, który miałby się gotować w garczku przeludnienia, malorolności i przyrostu naturalnego.

Jest sprawa jasna, że tego rodzaju rozstrzygnięcia dalałyby Sudety wschodnie, a więc przygotowanie do polknicia całego państwa, od którego to ziemi odcięto, polknicia bezbolesnego, bo tak okrojona Polska samaby spadła do koszyka wschodniego lub zachodniego. Jest to zupełne rozbicie Międzyzdrojów, a więc krok zupełnie zasadniczy dla ustroju przyszłej Europy i świata.

Rozbicie przez wyrwanie z granic Polski działu wodnego: Wisła-Dniestr i Wisła-Prut.

Jeśli chodzi o nasz, polski stosunek do zagadnienia federacji ludów Międzyzdrojów, jest on pochodną naszej siły, a nie naszej „szlachetności” czy szerokiego myślenia.

Droga do federacji świata nie idzie przez związek jednostek ludzkich jako takich, ale przez związek narodów. Tem należy tłumaczyć pozornie zadziwiający fakt, że po tamtej wojnie, która wykazała wielką współzależność ludów od siebie, byliśmy, już od czterech punktów wilsonowskich poczynając, już od samego początku, od traktatu wersalskiego — na drodze coraz bardziej zaostrażających się nacjonalizmów świata. Bo ten proces leżał na drodze do federacji świata, którą będą tworzyli tylko silni z silnymi i równi z równymi.

To samo prawo stosuje się do ludów Międzyzdrojów. Dlatego za pożądanymi i czynnymi partnerów tego Międzyzdrojów należy uważać nie tylko mielkich i niewyklarowanych Białorusinów z polskich kresów wschodnich, ulegających kulturze polskiej, ale twardych Litwinów, przez lat dwadzieścia przetrzymujących z Polską stan ni to pokoju ni wojny, ale Ukrainców z Małopolski Wschodniej.

Niemia nie dla mnie przykrejszego, niż gdy niewiadomo dlaczego z powagi dziejów naszych robi się propagandową latwinę, jak ze starcia się wspaniałych sił robi się słodką legendę o jakimś liberalizmie polskim. Istotnie, na pewnym odcinku naszych dziejów rośliśmy pięknie, bo mieliśmy się do stateczności by skupiać. Tak jak najwięcej dostojności ludzkiej jest nie w tem małżeństwie, gdzie mąż z dobrałowi gwarantuje żonie odpowiednią pozycję, tylko w takim, gdzie ta żona ma fach lub majątek, pozwalający jej odejść.

Kiedy pojechałem do ciężkiego więzienia na Święty Krzyż, aby wydobyc Sergiusza Piaseckiego, widziałem zabójców Pierackiego. I mimo że kierowała nimi niemiecka ręka wrogów Międzyzdrojów, pomyślałem, że to właśnie ci ludzie, tacy jak oni, budują coś trwałego, tak jak trwałe rzeczy zbudowane porozumieniem burso-angielskie, prowadzone przez Smutha i Devetta, którzy zstrzelali do Anglików.

Międzyzdroje było słabe przez słabość ich i nasza. Nikt nie zdaje się rozumieć, że wrogię nastawienie Litwy do Polski nie

pochodziło bynajmniej z pretensyj do Wilna, sami bowiem Litwini rozumieli, że Wilno nie jest litewskie. Że te dasy o Wilno potrzebne były dla utrzymania kordonu sanitarnego przeciw wpływom polskim, tak głęboko wrośniętym w duszę litewską i dlatego tak dla nich groźnym. Gdybyśmy nie byli katolikami, jak i oni, stosunki byłyby o pięćdziesiąt procent lepsze, gdybyśmy nie byli pospołu spadkobiercami unji, stosunki, pomimo Wilna, mogłyby być w stu procentach dobre. Ta słabość ich była silną rozsadzącą Międzyzdroje. W miarę jak wzrastało młode pokolenie, które nie umiało po polsku, w którym nie było powszechnych na Litwie, rozdziewków, gdy jeden brat uważał się za Litwin a drugi za Polaka — pierzchłaby obawa i następowałoby zbliżenie. Bo Międzyzdroje nie może się zraszać trwogą i przemocą, tylko równością i wolnością, wytworzoną przez grę sił.

Chłop białoruski przez swoją słabość był również kruchem tworzywem dla Międzyzdrojów. Jego nieokreślona „tutejszość” powodowała, że przygotowywał się „przeżyciem niepodległość” nowopowstającego państwa polskiego, jak przetrzymywali rządy carskie, niemieckie w czasie okupacji i przejściowo bolszewickie. Gdyby mu dano rządy własnego państwa, równie dobrze, pokornie pochyliliby głowę, sposobnie się, aby je „przeżywać”. Ale czas płynął, kark ludzkie sztywniały, i w planie ludzkiej poczynali się komórki życia.

Najbardziej godni współzdrucia byli ci, którzy najciężiej z nami walczyli — Ukraińcy. Czubek terytorium, zamieszkałego przez nich, został przy Polsce. Ten czubek, który był u nas, nie miał żadnych danych, aby tworzyć państwo, nie mógł być nawet Piemontem. W tej beznadziejności dawał postuch wiechrzoniom niemieckim i niemieckim pieniądzą, próbował z Polską walczyć zbrojnie i boleśnie został „spacyfikowany”. Wówczas poszedł drogą, którą Polacy ongi szli w zaborze pruskim — umacniania się przez ruch gospodarczy. Inteligencja ukraińska, odpychana od urzędów, wolnych zawodów, dała ogromny kontyngent taniej pracy — i w rezultacie np. sklepy „Masłosiojuzi” operowały nawet na Śląsku. Nie mam wątpliwości, że Ukraińcy musieliby krok po kroku uzyskiwać od Polski coraz więcej, i to ich położenie było o tyle lepsze, niż Polaków w zaborze pruskim, o ile dysponowali siłą między nimi i Polakami była mniejsza, niż między Polakami i Niemcami.

I ten więc partner dla tworzenia Międzyzdrojów był narazie — za słaby.

A Polska? — Polska była również za słaba. Przedwzięstkiem, licząc się z tak niesłychanym rozrzuconiem żywiołu polskiego, musiała dbać o swój stan posiadania. Sądzę że tylko bardzo wielkie, bardzo ugruntowane, bardzo pewne siebie państwo może się sponte wspaniałomyślnie czynić daleko idące koncesje, czując, że kalkwicze, przez sam układ stosunków, ma swego pupila w ręku. Polska, wracając do rządów na terytorjach na których przez sto pięćdziesiąt lat polskość była tepiona a obecnie zagrożona przez wiechrzane na powojennym chaosie zagraniczne dywersje, nie chciała i nie mogła „myśleć za kogoś”. „Dobra wola” nie odgrywa zresztą wielkiej roli w procesach

dziewiętych. I właściwie nie znam w historii narodów przykładu, gdzieby rozumowanie wyparło tendencję biologicznego rozrostu i gdzieby w chwili pogody nie rozumowano, że koszula bliższa jest ciału, niż kaftan. Dopiero, kiedy zawieje mroźny wiatr, kaftan staje się równie ważny.

ZIARNA

Ja sądzę, że ten mroźny wiatr wszystkich nas na Międzyzdrojach pouczy. Tamto dwudziestolecie, to było dopiero stawianie na nogach i próbowanie sił w pojedynkę. Teraz zaś dopiero trzeba będzie dokąś pomaszować.

Kocham ich wszystkich, będąc synem ziemi kresowej. Mierzam mnie starościnę półporkowic, których zwracali mi uwagę, uczyli mnie, spadzobierając tej ziemi, że nie powinienem odzywać się po białorusku do tego ludu.

Na miesiąc przed wojną przyjmowałem na swoim kawalku ziemi, który mi na Kowieńszczyźnie pozostał, trzydziestu literatów polskich i trzydziestu naszych litewskich kolegów.

Nastroj był pyszny póki się jadło kolduny i zapijało litewską wódką „trisdevisins”, nastana na dwudziestu siedmiu ziołach, której receptę posiada pewien aptekarz z Polagi, ale kiedy w swoim przemówieniu podkreśliłem, że zbliża się wojna z Niemcami i zachęcałem, aby tłuśli Niemców obyczajem przodków „kij szuni radu” (jak psza rudego), oczy ich biegły stronami i milczi zażenowani.

Gdzie są teraz, co mówią? Zesłani w odległe strony, nie wiedzą może nawet, jak straszliwie prostytuując zaborca niemiecki ich naród, pozabawiony inteligencji wywiezionej już przedtem. Oddziały litewskie są katami, operującymi po całej Polsce, rakarzami, spełniającymi ohydna robotę hyceli. Tak samo oddziały ukraińskie... Tak samo litewskie...

Dopływają tu, na Ziemię Świętą, drobinki z karzowanego ze zwierzęcą furją Międzyzdrojów, z kraju rolnego i polnego, ze smetnej ziemi białoruskiej, po której mgły na wrzosowiskach czepiają się brzoź, z czarnej, dorodnej ziemi ukraińskiej, gdzie białe domy stoją w okółu malw, w ziemi litewskiej, rozjaśnionej przejrystością rzek, nad którą drgają słowa „Pana Tadeusza”, którą opiewał Syrokomla, z ziemi ukraińskiej, gdzie białe chaty stoją w sadach, skąd natchnienie czerpali Słowacki, Goszczyński, Zaleski, przychodzą z tych ziem ludzie, którzy przeszli przez Eurazję, których przeszły kontynentalne wiatry w jakiejś Gobi czy z innych piekielnych zakątków. Chłopaki białoruskie z Głębokiego, litewskie z Łyntup, ukraińskie z Czortkowa, wygolone na lysę pały na punktach kwarantannowych, z nogami jeszcze w poszkorbutowych ranach...

Cierpienie — według porównania Prusa — wzywała ziarno umieszczone w kuli żywego mięsa, w które bije kół tego cierpienia.

Oby z tego cierpienia — wzrosło drzewo.

Tel-Aviv, w czerwcu 1943.

MELCHJOR WAŃKOWICZ.

STANISŁAW STROŃSKI

BITWA ROZSTRZYGAJĄCA W TEJ WOJNIE

Wrzesień 1940. Wojna trwała już rok. A Hitlerowie widliło się w niej dobrze. Zdumiewająco i zastraszcjąco dobrze. Zwycięstwo za zwycięstwem i podobaj za podobajem.

Wszystko niezawodnie i błyskawicznie szybko, jak nigdy przedtem w dziejach wojen. Polska, od rozpetania 1 września 1939, tej największej w toku tysiąclecia wojny do ustania walki w Warszawie 28 września 1939 cztery tygodnie a do wygaśnięcia walk na Helu 2 października 1939 i pod Kołkiem 5 października 1939 pięć tygodni; Norwegia od 13 kwietnia 1940 dwa tygodnie; Holandia i Belgia od 10 maja 1940 tydzień; Francja od uderzenia 10 maja 1940 i przedarcia aż pod Sedanem 14 maja 1940 do zaprzestania walki 17 czerwca 1940 pięć tygodni. Nie sami tylko Niemcy uwierzyli, że nie się im nie oprze i że, gdzie uderzą, przejdą.

Lipiec 1940, po klęsce Francji, włócił się w Wielkiej Brytanji wśród ciężkiej i groźnej ciszy, gdy Hitler gromadził na opanowanych w całej wybrzeżach zachodnich łądu europejskiego nie tylko lotnictwo ale już i statki i łodzie oraz wojsko do najazdu na wyspę brytyjską.

Wielka Brytania była sama. Już bez Francji, jeszcze bez Ameryki, z Włochami przeciw sobie na Morzu Śródziemnym, z Rosją w porozumieniu wówczas z Niemcami. Wszyscy sojusznicy ładowi kolejno ulegli. Kilkunastotyśięczny zastęp wojska polskiego wraz z lotnictwem, które odrazu w pierwszym rzucie dywizjonów lotnictwa polskiego już od końca roku poprzedniego narastającego przy brytyjskim na wyspie, stanowiły główną siłę sojuszniczą czynną, dostatecznie znaczną dla nowej umowy wojkowej z 5 sierpnia 1940, serdecznie witana i przygarniana. Wielka Brytania była niemal sama.

Na wyspie ustalał się nastrój obozowy przed oblężeniem. Zaciemnienia wieczorne i nocne teraz dopiero nabrały swej mrocznej treści. Na wybrzeżach stanęły gęsto stráže. Dzieci wywożono, w miarę możności, tysiącami, za ocean. Przygotowywano się na wszystko najcięższe.

Jen. Sikorski, z pierwszego objazdu oddziałów polskich, jeszcze nieco oszołomionych usunięciem się z pod nóg starego gruntu ładowego oraz przepawą przez morze i rozmieszczających się w Szkocij, przywoził nam hasło, które go witali żołnierze:

— Panie Generale, ale tej kępy to już nie damy.

Anglicy, jak zwykle, nie mówili nic, ale widać było, że, z Churchillem naczelnym, będą walczyli do upadłego.

I zaczęła się bitwa o Wielką Brytanię.

Jaka bitwa! Zawisła ona nad Kanałem i nad wyspą, z Londynem w samem sercu, od 8 sierpnia 1940, powracającą już nieustannie chmarami Junkersów, Heinkelów, Dornierów i Messerschmittów, dniami i nocą. Rosnąc w rozmiarach i grozie, w nalotach na porty, na lotniska, na stolicę, gdy nieprzyjacieli w uderzeniach naprzębli wyczerpywał się nieoczekiwanie ogromnymi stratami, była rozstrzygnięta zwycięsko dla Wielkiej Brytanji, jako odparcie zamyśłu owładnięcia przestworzą nad drogą morską ku niej i nad nią samą, celem przeprowadzenia ładowań i najazdu, właściwie już po wielkim dniu 15 września 1940, a w każdym razie 5 października 1940. Dogorywała tylko, teraz więcej nocami niż dniami, do 31 października 1940, wśród coraz wyraźniejszej niemocy Luftwaffe, choć znacznie wówczas liczniejszej

i przysposobionej do walki zaczepnej, w jej usiłowaniach przełamania niezupełnie jeszcze gotowej R.A.F., której Spitfire'y, Hurricane'y i Defianty zdolali jednak zaciekłe szarpać i w strzępy poszarpać napastnicze stada nad własną swą ojczyzną, walcząc o być-albo-niebyć.

I jeli się, z dnia na dzień, zarysowywać wyniki tych zmagnięć, które w zestawieniach tygodniowych tak oto się przedstawiały:

11-17 sierpnia: straconych niemieckich 491 — swoich 115 (ale 46 pilotów ocalałych); 18-24 sierpnia: 243 — 51 (26); 25-31 sierpnia: 293 — 113 (69); 1-7 września 347 — 128 (69); 8-14 września: 181 — 49 (20); 15-21 września: 263 — 47 (21); 22-28 września: 218 — 68 (32); 29 września — 5 października: 103 — 40 (21).

Niektóre dni wyróżniły się żniwem wspaniałym, jak 15 sierpnia 180 straconych niemieckich, 18 sierpnia 153, 15 września 185.

Z poza tych liczb, suchych w pierwszym wejrzeniu, lecz dobitnie wołających samą swą wysokością, ledwie przeziara ogrom zdarzenia i dokonania. Nie tylko każdy stracony samolot nieprzyjacielski i każdy stracony własny, które są w tych liczbach, lecz także każdy, któremu nieprzyjacieli zdołał się ostatecznie wyrywać, lub który sam zdołał wydobyć się z biedy, to przyczyna śmiertelna. Krótko mówiąc, dopiero gdyby każdy lotnik opowiedział każdy swój lot w grupie a potem często samotnie, od początku do końca, jak nam niektóre takie loty opowiadano, nie licząc, nawet nie jeden na tysiąc, miałyby się obraz tych dziesiątek i dziesiątek tysięcy zwycięstw pojedynków i zbiegłychich współdziałań, którymi zaroili się przestworza pod niebem w ciągu owych jesiennych dni i tygodni.

Ostatecznie stracono od 8 sierpnia do 31 października 2375 samolotów niemieckich, które spadły w oczach, nie licząc takich, które były postrzelane i napewno nie mogły dolecieć z powrotem, a po stronie brytyjskiej było 375 pilotów zabitych i 358 rannych.

Groźna niewątpliwie, a jeszcze bardziej chępliwą Luftwaffe, która liczyła na swą nieprzebraną, zdawało się, przewagę i leciała, jak na igrzysku, po pewne zwycięstwo, nie zdzierzyła szczerpliwemu lecz walecznemu o wszystko, nad własną ziemią i o własną ziemię, zastępowi R.A.F.

Hitler nie doceniał R.A.F. i dlatego przegrał rozstrzygającą w tej wojnie bitwę.

A światu dopiero wtedy odkryła się młoda wielkość R.A.F., przedtem jakby zagłuszona nie tylko chwałami Luftwaffe, która hasała przelatającą nad ładem europejskim od Polski do Francji. Ustalona sława, jaką flota brytyjska uzyskała w ciągu stuleci, zdobyła wtedy lotnictwo brytyjskie za jednym zamachem i odtąd opronieniało ją coraz to nowymi chwałami. A bardzo się na to zanosi, że, nim przedzie dzień tej wojny, dojdzie do sławy, jako żadnemu na świecie nie ustępujące, również brytyjskie wojsko ładowe.

W bitwie o Wielką Brytanię odkryło się sławą nieśmiertelną lotnictwo brytyjskie, o którym Churchill powiedział:

— Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few... Nigdy w dziejach wojennych ludzkości tyle nie zawdzięczał ogół tak niewielkiej garstce ludzi. Niemniej chwalebne jednak przeżyło strasliwą próbę całe społeczeństwo brytyjskie.

Zamyślem niemieckim było przetrwanie i rozstrojenie ludności Wielkiej Brytanji pustoszącami i morderczemi nalotami na



Podpisanie umowy polsko-angielskiej w Londynie dn. 5 sierpnia 1940 r.; siedzą (od lewej do prawej) Lord Halifax, ambasador Raczynski, gen. Sikorski, Churchill, minister Zaleski, mjr. Attlee



Lotnicy słynnego polskiego dywizjonu myśliwskiego przy ładowaniu amunicji do karabinów maszynowych jednego z Hurricane'ów

miasta ze stolicą naczelną, w mniemaniu, że nacisk ludności, która się zalamała, wytrąci broń z rąk siłom zbrojnym.

W samym Londynie nie tylko zburzono wówczas tysiące domów lecz zabito blisko 15 tysięcy osób (14 281) i ciężko rannio ponad 20 tysięcy (20 325).

Lecz społeczeństwo brytyjskie okazało wówczas hart ducha najwyższej istotnie miary. Każdy dzień i każda noc nalotów wznagłał woje oporu. Nikt, ale to nik, nie ugiął się, nikt się nie skarżył, a jeśli ktoś mówił eokolwiek, to tylko:

— Odpłaćmy to wszystko.

STANISŁAW STROŃSKI.

ANGLJA W EUROPIE

Historycy stwierdzają, że Imperjum Brytyjskie powstało dzięki przedsiębiorczości indywidualnej, dość przypadkowej, bez żadnej piekielniczki czy dziesięciolatkę ze strony państwa.

Tak samo bez świadomości, że dokonała przewrotu w całej polityce i tradycji angielskiej, Wielka Brytania jednym skokiem stanęła w Europie, uotomażając swój los z istnieniem państwa polskiego.

Kiedyś dopiero badania historyczne wykazały, czy Chamberlain zdawał sobie sprawę, że jego decyzja wprowadziła politykę brytyjską na całkiem nowe szlaki, czy też uważał raczej, że dokonywa tylko konjunkturnego posunięcia dyplomatycznego, obliczonego na doraźne zaszachowanie pochodu imperjalizmu germańskiego.

Czy Wielka Brytania już wówczas uświadamiała sobie w pełni, że Gibraltar bezpieczeństwem całej Europy — a więc w konsekwencji i Anglii i jej imperjum — jest właśnie Polska? Wydaje się, że nie — bo jeszcze dzisiaj z trudem toruje sobie drogę do świadomości politycznej ogółu koncepcja, że przyszłość i nawet istnienie brytyjskiej wspólnoty narodów zależy może w ostatecznym rozrachunku od tego, czy Wielka Brytania da się wyprowadzić z czynnego udziału w polityce Europy, która bynajmniej nie kończy się u granic Francji.

Niechęć do rewolucyjnych skoków sprawiła, że Chamberlain chciał wprowadzić Anglię do Europy drogą poniekąd określoną, proponując odbycie tej podróży w ewizorkę. Być może, że przyszłe pokolenia mieszkańców tej wyspy mniej będą lależyli nazwisko Chamberlaina z Monachium, symbolem upadku znaczenia Wielkiej Brytanii w Europie, natomiast widzieć w nim będą tego, który Imperjum Brytyjskie z osobnieniami wyspiarskiego wprowadził do Europy.

W każdym razie, to pierwsze, ostrożne i pełne wahania kroki, których etapy znacząca data: 21, 23, 30 i 31 marca, 6 kwietnia i 25 sierpnia 1939, warto sobie teraz właśnie uprzytomnić.

Data pierwsza: 21 marca 1939. W tym dniu ambasador brytyjski Sir Howard Kennard składa w warszawskim ministerstwie spraw zagranicznych memoriał, streszczający się w propozycji łącznego brytyjsko-francusko-sowieckiego oświadczenia co do konsultacji w celu wspólnego oporu w razie zagrożenia pokoju a bezpieczeństwu europejskiego przez akcję, która przedstawia niebezpieczeństwo dla niepodległości jakiegokolwiek państwa europejskiego.

Jak widać, formułka skromna i bardzo ogólnikowa. Ale z Warszawy przychodzi impuls, który poprostu pcha wahającego się jeszcze zawsze Chamberlaina na prostą drogę. Data druga: 23 marca. W instrukcji dla ambasadora Raczńskiego ówczesny minister spraw zagranicznych Beck prosi o zapytanie Lorda Halifaxa, czy wobec komplikacji, wynikających w wielostronnych rokowań i szybkiego biegu wypadków, „rząd angielski nie mógłby wziąć pod rozwagę możliwości zawarcia z nami, bezwzględnie dwustronnego porozumienia, zgodnego z duchem proponowanego oświadczenia”. „Na wypadek, gdyby rząd angielski uważał samą zasadę za możliwą do przyjęcia, moglibyśmy natychmiast ustalić formę i treść ewentualnej umowy lub „gentlemen agreement”.

Dokładnie po tygodniu, dn. 30 marca — data trzecia — w czasie rozmowy ambasadora Kennarda z polskim ministrem spraw zagranicznych, sekretarzem ambasady p. Hankey przynosi z Londynu polecenie by Sir Howard zapytał rząd polski, czy nie miałby zastrzeżeń przeciw gwarancji brytyjskiej (o znanej treści), którą p. Chamberlain chciałby nazajutrz ogłosić w Izbie Gmin.

„Pan Beck odpowiadał Sir Howardowi, — czytamy w „Białej Księdze”, wydanej przez rząd polski w Paryżu w r. 1940, — że rząd polski w pełni zgadza się z propozycją rządu angielskiego”.

Piątą datę notujemy o dzień później: 31 marca — ogłoszenie gwarancji angielskiej. Uobecnienie warto zaznaczyć, że to proste zestawienie dat i dokumentów kładzie kres szerzonym uprzednio legendzie, jakoby Warszawę zaskoczono ta gwarancją, jakoby Polsce ją narzucono, a na Wierzbowej dosłownie „nie wiadomo co z tym fantem zrobić”. Raczej wygląda na to, że decyzja angielska spotkała się z jednoczesną inicjatywą polską, dzięki której dość mgliste oświadczenie konsultacyjne „à quatre” uzyskało realną konstrukcję sojuszu polsko-angielskiego. Bo dalsze dwie daty — ta z 6 kwietnia, kiedy jedностronną gwarancję zamieniono na dwustronną i zapowiedziano zawarcie formalnego układu, oraz 25 sierpnia, dzień podpisania sojuszu — są fazami rozwoju, który już narzucała sama logika.

Decyzja Polski z marca 1939 r. wiązała i los Rzeczypospolitej z Anglią, Anglię — z Europą. A gdy w czerwcu 1940 r. wraz z Francją wszystko zdawało się leć w gruzach, młoda budowa polsko-angielska przetrwała doskonale „blitz” niemiecki i drugim filarem, który ją podparł, stał się historyczny dzisiaj już lot gen. Sikorskiego na bombowcu do premjera Churchilla.

Dlatego też opinia polska, w pełni zdająca

sobie sprawę z faktu, że póki co zależeć będzie od rozmiaru udziału Wielkiej Brytanii w organizacji Europy powojennej, z taką uważa ślady krystalizowania się poglądów opinii brytyjskiej, która — podobno jak to było w okresie kształtowania się Imperjum — widzi ze zdziwieniem i...obawą „nowe odpowiedzialności”, stojące przed nią.

Powtórzone w r. 1939 Rapallo z wszystkimi konsekwencjami, od Finlandii aż po Besarabję, przyjęte było z bardzo mieszanymi uczuciami przez społeczeństwo brytyjskie. Kiedy zaś Rosja — wskutek napaści Niemiec — stała się jednym z Zjednoczonych Narodów, postanowiono o niedawnej przeszłości nie mówić. Jednak Moskwa, która zwłaszcza w 1942 widziała niebawiala haussę na swe papiery, chętnie wznowiała rozmowy na te tak drażliwe tematy.

Nikt oczywiście nie może zaprzeczyć, że Rosja jako wielkie mocarstwo, graniczące z tym obszarem kultury zachodniej, który się określa jako „Europe środkowo-wschodnią”, powinna brać czynny udział w wspólnej polityce europejskiej, że jej bezpieczeństwo powinno być ustalone a słuszne jej interesy uszanowane. Pewne jednak aspiracje wydawały się — by powtórzyć określenie Maurois, dotyczące polityki rosyjskiej z okresu Disraeliego — „dalekosężne i podejrzane”.

Oficjalne koła brytyjskie — poza dorywczym formułowaniem dość nieuchwytliwych koncepcji o „kierowniczej roli Wielkiej Brytanii, Ameryki, Rosji i Chin” (zwłaszcza aktywny udział Chin w polityce europejskiej musiałby być abstrakcyjny) — sprzyjały zasadzie prostej: „o tem — potem”.

Zapytany na pewnej konferencji prasowej przez korespondenta zagranicznego o stanowisko rządu brytyjskiego w sprawie państw bałtyckich, minister Bracken odpowiedział: „Istnieje stara dobra angielska książka kucharska, zawierająca doskonały przepis na przyprawianie zająca, zaczynający się od słów: „Najpierw należy złapać zająca...” Dyskusję skierowano więc na tory prasowe. Najwięcej hałasu narobił słynny artykuł „Times’a”, proponujący Rosji podział wpływów w Europie: „wydajcie Odrę — my do Renu”.

Nie należy — rzecz jasna — przeceniać znaczenia tej prasowej, nawet na łamach „Times’a”. Ale artykuły w tym dzienniku miały czasem te właściwości, że choć nie są wyrazem konkretnej polityki Foreign Office’a, niemniej spełniają cenną rolę papierka lakmusaowego.

Reakcja była — i jaka! Propaganda niemiecka nie szczędziła zachodu, żeby pełny tekst tego artykułu dotarł wszędzie, zwłaszcza do państw neutralnych. Nadochrędo do White Hallu ze stolice tych państw raporty musiały wykazać ponad wszelką wątpliwość, że nastroje są dalekie od entuzjazmu dla planu zastąpienia, nazywającego rzecz po imieniu, jednego „Herrenvolku” u innym. Narody wolne, państwa neutralne, które w okresie największego zagrożenia Wielkiej Brytanii jesienią 1940 r. wierzyły w nią jako w jedyną ostoję wolności i lepszego jutra Europy, były wyraźnie zaniepokojone ujawnionym jakby zamiarem Anglii dokonania politycznej Dunkierki, ewakuacji z Europy.

Zajęcia jeszcze nie złapano. Ale szlachetny szarak niewątpliwie znajduje się już w kotlinie, z której ucieczki nie ma.

Dlatego też recepta na przyrzadzenie „lièvre à la russe, sauce Bismarck” nie wywola zachwytu gastronomicznym politycznych. Jedną z najbardziej charakterystycznych cech dyskusji brytyjskiej, to niechęć do wiązania się przed cesarzem — zaleta zewszemniar chwalebna, gdyż konsekwencją jej jest dotrzymywanie co do joty raz zaciągniętych zobowiązań. Ten sam „Times”, którego „zaodrzański” artykuł wywołał tyle wrzawy, ogłosił inny artykuł, w którym wyraźnie przeciwstawił się temu, jakoby Europę można było urządzić w ten sposób, że na wschodzie Rosja rządzi jak na własnym folwarku, uważając, że tylko zachód jest ogródkiem angielskim. „Złudzeniem byłoby przypuszczenie, że na zachodzie może istnieć porozumienie i wspólna decyzja, jeżeli polityka na wschodzie miałaby być określana jednostronnie”.

Lewicowy zaś „New Statesman and Nation”, który zawsze okazywał kurtuazję i zrozumienie dla najdalej idących wymagań sojusznika wschodniego, zaczął zastanawiać się nad melodią przewodnią sygnaturki moskiewskiej, w artykule zatytułowanym „Moscow Calling”.

Skoro „New Statesman” dosłyszał w głosie Wolnych Niemców, wolaających na fali Moskwy, dźwięki z Rapalla, nie jest zapewne też zwykłą przenośnią literacką, że „Times” z licznych punktów sojuszu brytyjsko-angielskiego wybrał właśnie paragrafy, w których obaj kontrahenci zobowiązują się do niezawierania odrębnego pokoju czy też rozejmu.

Polityka niemiecko-rosyjska porusza się między dwoma skrajnymi biegunami. Obaj — partnerzy czy wrogowie — starają się też niezmieennie ta samą metodą przyciągać sprzymierzeńców czy też zastraszyć ewentualnych wrogów. Niemcy grożą niebezpieczeństwem bolszewickim, a Rosja... groźbą imperjalizmu niemieckiego (już nawyrost, bo nawet na wypadek zupełnego rozgromienia i powalenia Rzeczy). Albo też obie strony przypominają światu możliwość krainowego odmienną.

Straszek bolszewicki — „the bolshevik bogey” — okazał się strachem na wróble. Nie przyniósł Niemcom upragnionego rozbicia koalicji, ale — jak się okazuje — Rosja także — a contrario — na nim nie zarobiła.

Czy wobec tego nie można oczekiwać, że wypłynie znowu Rapallo?

„New Statesman” tej możliwości nie wyklucza, a nawet stawia pytanie, czy potomek Bismarcka nie miałby stać się symbolicznym pionierem na starej bismarckowskiej drodze.

Reakcja Londynu i Waszyngtonu wskazuje jednak na to, że straszek Rapalla wcale nie jest lepszy w gatunku od „bolshevik bogey”. Jeżeli nawet w r. 1942 przyjmowano taką niespodziankę jako najwyżej dramatyczną, ale nigdy tragiczną możliwość, to bardziej dzieje się tak dzisiaj, kiedy stosunek sil z każdym dniem zmienia się na korzyść Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Zagadnienie: „Anglia w Europie” prowadzi się więc w ostatecznym rozrachunku do zagadnienia stosunku Wielkiej Brytanii do Rosji. Jak w r. 1875 Anglia — mimo sympatii dla Rosji — nie mogła patrzeć obojętnie na możliwość zagrożenia drogi imperjalnej, tak też w piątym dziesiątku lat b.w. Anglia nie chce — a nawet nie może — dać sobie zamknąć drogi do Europy.

I tutaj zarysowują się dwie możliwości:

albo Anglia zostanie w Europie wspólnie z Rosją, albo bez niej.

Jest rzeczą oczywistą, że pierwsza koncepcja bardziej pociąga spokojnie i realistycznie usposobione umysły angielskie. Zgodnie z duchem i tradycją swej polityki, Anglia nie pomija żadnego sposobu by znaleźć platformę współpracy, okazując chęć do kompromisów. Ale trudność polega na tem że mimo wszystkich wysiłków, nikt jeszcze nie dał Londynu dostatecznie jasnej i przekonywującej odpowiedzi na pytanie, dokąd Kreml zdąży, i czy wspólny marsz przeciw Niemcom ma też wspólny cel.

Realizm i skłonność do kompromisów jest niewątpliwie cechą pociągającą angielskich. W pewnych granicach, właściwości te, umiejętnie stosowane, są objawem wielkiej mądrości politycznej, zdolności wyobraźni i rozróżniania między rzeczami ważnymi a drugorzędnie szczegółami. Czasami realizm jest przeciwieństwem maski bezsilny a kompromis przerażająco w kapitalizację. Anglię mają pełne poczucie, gdzie biegnie granica między tymi „realizmami”.

Monachium już realizmem tej drugiej kategorii — smutną koniecznością równą kapitulacji — spowodowaną pocuciem bezsilności, braku gotowości bojowej zarówno materialnej jak moralnej.

Anglia dzisiejsza nie zdaje się być skłonna do wschodniego Monachium. Bo gdy trzeba, Anglię też umiemy być bezkompromisowi — w imię realizmu.

Dla narodów europejskich, zamieszkujących olbrzymi obszar ciągnący się od wybrzeży Norwegii aż do „złotych wrót”, interes europejski Anglii utożsamia się z ich własnym, najbardziej żywotnym interesem. I jeżeli nie chcą stać się przedmiotem gry cudzych interesów, muszą szukać formy współpracy, opartej na realnej ocenie sił i możliwości — właśnie w łączności z angielską koncepcją Europy, której zapowiedzi dał Churchill, mówiąc o „radzie europejskiej”.

Łączność z Wielką Brytanią jest tem łatwiejszą, że narody te żywcem mogą przekonać, iż „imperjalizm” angielski dla ich niepodległości politycznej i rozwoju gospodarczego niebezpieczeństwem nie jest. Przeciwnie: brak zainteresowania Europą ze strony Wielkiej Brytanii stał się albo ceną, że przed jej późniejszą ideą „Drang nach Osten”, a drugi szuka możliwości ekspansji w kierunku zachodnim.

Dlatego też interes samozachowawczy i prymitywna mądrość polityczna nakazują, by państwa te czyniły wszystko co Anglii jej rolę w Europie ułatwia, wszystko co Anglii uświadamia fakt, że ustalibyśmy pokój, oparty na niepodległości i współpracy państw u granicy „środkowo-wschodniej”, jest jedynym z istotnych elementów przyszłości Imperjum Brytyjskiego.

Dla Polski, pomostu, po którym — w najdramatyczniejszym momencie jej dziejów — Anglia po raz pierwszy wkroczyła do tej części Europy, „Anglia w Europie” jest wprost zagadnieniem bytu.

PIOTR DUNIN.

BOLESŁAW MICIŃSKI

Dn. 30 maja b.r. zmarł w Grenoble s.p. Bolesław Miciński.

Wśród pisarzy najmłodszego pokolenia, zajmował Miciński miejsce wybitne. Pomimo iż drukował niewiele (wydał tylko zbiór wierszy i dwa tomy prozy), był w literaturze najmłodszych czasów niewątpliwie postacią dużej miary. Znano go przede wszystkim z głębokiego wykształcenia humanistycznego oraz z olśniewającej erudycji filozoficznej i literackiej. Ci, którzy się z nim bliżej zetknęli, wiedzieli, że wykształcenie to i erudycja stały na usługach cierpliwej i niewyczerpanej pracy nad sobą, którą uważał Miciński za pierwszy obowiązek pisarza. Powołaniu bowiem pisarstwu stawiał zadania trudne i szerokie; żądał od pisarza uczciwości wobec czytelnika i rzetelności przyjaciela, mądrości wychowawczej, moralności kapłana. Zwłaszcza ten aspekt — głębokiej, humanistycznej i chrześcijańskiej moralności — był dla Micińskiego czynnikiem naczelnym w postępowaniu człowieka pióra. Łączyła się z tem troska o doskonałość techniczną utworu literackiego, w której osiągnięcie wkładał, przy wielkim pisarskim talencie, iscie mroźca pracę i cierpliwość. Gdyby go — tak bardzo związaną z kulturą zachodnio-europejską, a zwłaszcza francuską — chcieć porównać do znakomych pisarzy Zachodu, trzeba by wybrać Maritaina i Valéry’ego, jak tych do których się zbliżał. Maritainowi bliski był w umowności doniosłych zagadnień moralnych czasu dzisiejszego, na które patrzył z historycznej perspektywy poszukiwania prawd człowieczych — od Heraklita i Platona poprzez św. Augustyna i Kanta do Freuda i Adlera — jak samotny poeta francuski, czytelnowi mieszkani i latami jakiś szkic filozoficzny czy książkę, brnąc poprzez gestywny przeszkód, które dzieła myśli naszą od jej zrozumienia przez innego człowieka, do tych odległych polan przejrzystości i światła, na których Valéry znajdował chłodne źródła swojej czystej poezji.

Najbardziej znaną z nielicznych rzeczy Micińskiego jest wydana w r. 1937 książka jego p.t. „Podróż do piekieł” — zbiór szkiców filozoficznych, osnutych na tem imaginacyjnych wypraw filozofów i poetów w zaświaty. Przedstawiona przez prof. Zielińskiego do nagrody młodych Akademii Literatury na r. 1937, wywołała znaczne zainteresowanie. W „Podróżach do piekieł” Miciński dochoodzi do wniosku, iż jedynym w nowych czasach terenem ekspansyjnym dla naszej odkrywczości jest dziedzinia psychiki ludzkiej, szczególnie jej podświadomości, w której czysciec i piekło jest tam, gdzie, wbrew Dantemu, aby spełnić pierwsze pisarza zadanie wobec potęmości: pogłębić wiedzę o człowieku.

W Grenoble wydał Miciński w ub. r. książkę p.t. „Dwa portrety”, stanowiącą wizerunek filozoficzny Kanta i Juliana Apostaty. Zarysowywała ona pierwsze zarysy teoretycznego systemu filozoficznego, który, trudem długich studiów i mozolnej pracy nad sobą, chciał wnieść Miciński dla nas i dla naszej kultury.

Zmarł tak młodo — bo w 31-ym roku życia — pisarz jest jedną z niezliczonych ofiar tej wojny. Od lat piątąstą zagrożony nieuleczalną chorobą płuc, upadł pod jej ciężarem po strasznych przeżyciach w czasie ucieczki spod okupacji sowieckiej w r. 1939 a następnie wskutek ciężkich warunków, na jakie skazano go życie w okupowanej Francji. Przekazalaniem się Francji, na tydzień przed wejściem Włoch do wojny, zamieszkał Miciński w paryskich „Wiadomościach Polskich” (w numerze z dn. 2 czerwca 1940 r.) artykuł „Odpowiedź na list Francuska, obywatela rzymskiego”. Asumpt literacki do

Drzwi się otwiera — drzwi się zamykają. Wchodzi rozmaici ludzie. Wchodzi, kłękają, modlą się krótko i wychodzą. Drzwi zamykają się za nimi. Potem otwierają się znowu.

Teraz jeszcze nie przyjdiesz — to nie byłoby w twoim stylu. Gdy miałem pocztę, zegar wskazywał za dziesięć dziesiątą, a tyś powiedziała: „Będę w małym kościele przed Assunpejonistami, na prawo, koło dziesiątej, zaleję, jak mi się ułoży”. Wice przyjdiesz około wpół do jedenastej, może później. Albo nie przyjdiesz wcale.

Usiadłem w kącie, niedaleko drzwi. Można widzieć cały kościół, a samemu być w cieniu, nie dostrzeżonym przez wchodzących. Stąd odrazu zobaczę cię, gdy będziesz mijala te jedne drzwi. Jednak chyba przyjdiesz. Przecież tak chętnie zgodziłaś się na dzisiejsze spotkanie i projektowany spacer we dwoje po staroście mieście.

Narazie mam sporo czasu. Wsiąkam w atmosferę tego miłego kościółka, należącego do żeńskiego klasztoru sakramentek, około dwudziestu zakonnic modli się właśnie w kłauzurowej części świątyni, odgródzonej od reszty kościoła piękną, sięgającą aż do stropu żelazną kratą. Promienie słońca, przesiąkające przez kolorowe witraże, opalają na niej wszystkimi barwami tęczy. Powoli przesuwa się z jednego zacięcia na drugie. Krata mieni się, żyje.

Po górnej galerii, otaczającej główną nawę, snuje się jakaś siostrzyczka w powłóczystym, białym habicie. Snop światła padł przez niewielkie okno na jej smukłą, nierzadką sylwetkę. Już mignęła planem kolorowej balustrady i znikła w szarym mroku.

W łagodnym półcieniu wibruje śpiew modlitwy. Łacińskie słowa — niektóre zrozumiałe, inne zapomniane, ale nieobce. Nie potrzeba się zastanawiać nad treścią tych pień radosnych — dziś dzień zesłania Ducha św. — one są bliskie, bo powszechne, katolickie. Jednoczą wszystkich bez względu na narodowość, wytwarzają zbiorowy nastrój modlitwy.

Ala ja nie mogę się modlić. Przeszkadzają mi drzwi. Te drzwi, co się otwierają, a potem zamykają się znowu.

Siedzę w moim kącie i zamiast patrzeć na ołtarz, obserwuję drzwi, przez które przyjdiesz. Są to zwykłe drzwi jedno-skrzydłowe, jakich pełno w tutejszych kościołach. Obite wołokiem i ceratą dla zgłoszenia odgłosów wdzierających się z szerokiego świata, pełnego grzechu i pokus. Po stronie zewnętrznej emalowana tabliczka z napisem „Poussez” — drzwi otwierają się w stronę kościoła. Dlatego, gdy ktoś wchodzi, nie mogę go spostrzec odrazu: najpierw słyszę przytłumione kroki w kruchcie, potem słyszę szelest obracających się zawiasów.

Drzwi się otwierają, drzwi się zamykają.

Wchodzi rozmaici ludzie. Wchodzi, kłękają, modlą się krótko i wychodzą. Drzwi zamykają się za nimi. Potem otwierają się znowu.

Teraz jeszcze nie przyjdiesz — to nie byłoby w twoim stylu. Gdy miałem pocztę, zegar wskazywał za dziesięć dziesiątą, a tyś powiedziała: „Będę w małym kościele przed Assunpejonistami, na prawo, koło dziesiątej, zaleję, jak mi się ułoży”. Wice przyjdiesz około wpół do jedenastej, może później. Albo nie przyjdiesz wcale.

Usiadłem w kącie, niedaleko drzwi. Można widzieć cały kościół, a samemu być w cieniu, nie dostrzeżonym przez wchodzących. Stąd odrazu zobaczę cię, gdy będziesz mijala te jedne drzwi. Jednak chyba przyjdiesz. Przecież tak chętnie zgodziłaś się na dzisiejsze spotkanie i projektowany spacer we dwoje po staroście mieście.

Narazie mam sporo czasu. Wsiąkam w atmosferę tego miłego kościółka, należącego do żeńskiego klasztoru sakramentek, około dwudziestu zakonnic modli się właśnie w kłauzurowej części świątyni, odgródzonej od reszty kościoła piękną, sięgającą aż do stropu żelazną kratą. Promienie słońca, przesiąkające przez kolorowe witraże, opalają na niej wszystkimi barwami tęczy. Powoli przesuwa się z jednego zacięcia na drugie. Krata mieni się, żyje.

Po górnej galerii, otaczającej główną nawę, snuje się jakaś siostrzyczka w powłóczystym, białym habicie. Snop światła padł przez niewielkie okno na jej smukłą, nierzadką sylwetkę. Już mignęła planem kolorowej balustrady i znikła w szarym mroku.

W łagodnym półcieniu wibruje śpiew modlitwy. Łacińskie słowa — niektóre zrozumiałe, inne zapomniane, ale nieobce. Nie potrzeba się zastanawiać nad treścią tych pień radosnych — dziś dzień zesłania Ducha św. — one są bliskie, bo powszechne, katolickie. Jednoczą wszystkich bez względu na narodowość, wytwarzają zbiorowy nastrój modlitwy.

Ala ja nie mogę się modlić. Przeszkadzają mi drzwi. Te drzwi, co się otwierają, a potem zamykają się znowu.

Siedzę w moim kącie i zamiast patrzeć na ołtarz, obserwuję drzwi, przez które przyjdiesz. Są to zwykłe drzwi jedno-skrzydłowe, jakich pełno w tutejszych kościołach. Obite wołokiem i ceratą dla zgłoszenia odgłosów wdzierających się z szerokiego świata, pełnego grzechu i pokus. Po stronie zewnętrznej emalowana tabliczka z napisem „Poussez” — drzwi otwierają się w stronę kościoła. Dlatego, gdy ktoś wchodzi, nie mogę go spostrzec odrazu: najpierw słyszę przytłumione kroki w kruchcie, potem słyszę szelest obracających się zawiasów.

Drzwi się otwierają, drzwi się zamykają.

Wchodzi rozmaici ludzie. Wchodzi, kłękają, modlą się krótko i wychodzą. Drzwi zamykają się za nimi. Potem otwierają się znowu.

Teraz jeszcze nie przyjdiesz — to nie byłoby w twoim stylu. Gdy miałem pocztę, zegar wskazywał za dziesięć dziesiątą, a tyś powiedziała: „Będę w małym kościele przed Assunpejonistami, na prawo, koło dziesiątej, zaleję, jak mi się ułoży”. Wice przyjdiesz około wpół do jedenastej, może później. Albo nie przyjdiesz wcale.

Usiadłem w kącie, niedaleko drzwi. Można widzieć cały kościół, a samemu być w cieniu, nie dostrzeżonym przez wchodzących. Stąd odrazu zobaczę cię, gdy będziesz mijala te jedne drzwi. Jednak chyba przyjdiesz. Przecież tak chętnie zgodziłaś się na dzisiejsze spotkanie i projektowany spacer we dwoje po staroście mieście.

Narazie mam sporo czasu. Wsiąkam w atmosferę tego miłego kościółka, należącego do żeńskiego klasztoru sakramentek, około dwudziestu zakonnic modli się właśnie w kłauzurowej części świątyni, odgródzonej od reszty kościoła piękną, sięgającą aż do stropu żelazną kratą. Promienie słońca, przesiąkające przez kolorowe witraże, opalają na niej wszystkimi barwami tęczy. Powoli przesuwa się z jednego zacięcia na drugie. Krata mieni się, żyje.

Po górnej galerii, otaczającej główną nawę, snuje się jakaś siostrzyczka w powłóczystym, białym habicie. Snop światła padł przez niewielkie okno na jej smukłą, nierzadką sylwetkę. Już mignęła planem kolorowej balustrady i znikła w szarym mroku.

W łagodnym półcieniu wibruje śpiew modlitwy. Łacińskie słowa — niektóre zrozumiałe, inne zapomniane, ale nieobce. Nie potrzeba się zastanawiać nad treścią tych pień radosnych — dziś dzień zesłania Ducha św. — one są bliskie, bo powszechne, katolickie. Jednoczą wszystkich bez względu na narodowość, wytwarzają zbiorowy nastrój modlitwy.

Ala ja nie mogę się modlić. Przeszkadzają mi drzwi. Te drzwi, co się otwierają, a potem zamykają się znowu.

Siedzę w moim kącie i zamiast patrzeć na ołtarz, obserwuję drzwi, przez które przyjdiesz. Są to zwykłe drzwi jedno-skrzydłowe, jakich pełno w tutejszych kościołach. Obite wołokiem i ceratą dla zgłoszenia odgłosów wdzierających się z szerokiego świata, pełnego grzechu i pokus. Po stronie zewnętrznej emalowana tabliczka z napisem „Poussez” — drzwi otwierają się w stronę kościoła. Dlatego, gdy ktoś wchodzi, nie mogę go spostrzec odrazu: najpierw słyszę przytłumione kroki w kruchcie, potem słyszę szelest obracających się zawiasów.

Drzwi się otwierają, drzwi się zamykają.

Wchodzi rozmaici ludzie. Wchodzi, kłękają, modlą się krótko i wychodzą. Drzwi zamykają się za nimi. Potem otwierają się znowu.

Teraz jeszcze nie przyjdiesz — to nie byłoby w twoim stylu. Gdy miałem pocztę, zegar wskazywał za dziesięć dziesiątą, a tyś powiedziała: „Będę w małym kościele przed Assunpejonistami, na prawo, koło dziesiątej, zaleję, jak mi się ułoży”. Wice przyjdiesz około wpół do jedenastej, może później. Albo nie przyjdiesz wcale.

Usiadłem w kącie, niedaleko drzwi. Można widzieć cały kościół, a samemu być w cieniu, nie dostrzeżonym przez wchodzących. Stąd odrazu zobaczę cię, gdy będziesz mijala te jedne drzwi. Jednak chyba przyjdiesz. Przecież tak chętnie zgodziłaś się na dzisiejsze spotkanie i projektowany spacer we dwoje po staroście mieście.

Narazie mam sporo czasu. Wsiąkam w atmosferę tego miłego kościółka, należącego do żeńskiego klasztoru sakramentek, około dwudziestu zakonnic modli się właśnie w kłauzurowej części świątyni, odgródzonej od reszty kościoła piękną, sięgającą aż do stropu żelazną kratą. Promienie słońca, przesiąkające przez kolorowe witraże, opalają na niej wszystkimi barwami tęczy. Powoli przesuwa się z jednego zacięcia na drugie. Krata mieni się, żyje.

Po górnej galerii, otaczającej główną nawę, snuje się jakaś siostrzyczka w powłóczystym, białym habicie. Snop światła padł przez niewielkie okno na jej smukłą, nierzadką sylwetkę. Już mignęła planem kolorowej balustrady i znikła w szarym mroku.

W łagodnym półcieniu wibruje śpiew modlitwy. Łacińskie słowa — niektóre zrozumiałe, inne zapomniane, ale nieobce. Nie potrzeba się zastanawiać nad treścią tych pień radosnych — dziś dzień zesłania Ducha św. — one są bliskie, bo powszechne, katolickie. Jednoczą wszystkich bez względu na narodowość, wytwarzają zbiorowy nastrój modlitwy.

Ala ja nie mogę się modlić. Przeszkadzają mi drzwi. Te drzwi, co się otwierają, a potem zamykają się znowu.

Siedzę w moim kącie i zamiast patrzeć na ołtarz, obserwuję drzwi, przez które przyjdiesz. Są to zwykłe drzwi jedno-skrzydłowe, jakich pełno w tutejszych kościołach. Obite wołokiem i ceratą dla zgłoszenia odgłosów wdzierających się z szerokiego świata, pełnego grzechu i pokus. Po stronie zewnętrznej emalowana tabliczka z napisem „Poussez” — drzwi otwierają się w stronę kościoła. Dlatego, gdy ktoś wchodzi, nie mogę go spostrzec odrazu: najpierw słyszę przytłumione kroki w kruchcie, potem słyszę szelest obracających się zawiasów.

Drzwi się otwierają, drzwi się zamykają.

Wchodzi rozmaici ludzie. Wchodzi, kłękają, modlą się krótko i wychodzą. Drzwi zamykają się za nimi. Potem otwierają się znowu.

Teraz jeszcze nie przyjdiesz — to nie byłoby w twoim stylu. Gdy miałem pocztę, zegar wskazywał za dziesięć dziesiątą, a tyś powiedziała: „Będę w małym kościele przed Assunpejonistami, na prawo, koło dziesiątej, zaleję, jak mi się ułoży”. Wice przyjdiesz około wpół do jedenastej, może później. Albo nie przyjdiesz wcale.

Usiadłem w kącie, niedaleko drzwi. Można widzieć cały kościół, a samemu być w cieniu, nie dostrzeżonym przez wchodzących. Stąd odrazu zobaczę cię, gdy będziesz mijala te jedne drzwi. Jednak chyba przyjdiesz. Przecież tak chętnie zgodziłaś się na dzisiejsze spotkanie i projektowany spacer we dwoje po staroście mieście.

Narazie mam sporo czasu. Wsiąkam w atmosferę tego miłego kościółka, należącego do żeńskiego klasztoru sakramentek, około dwudziestu zakonnic modli się właśnie w kłauzurowej części świątyni, odgródzonej od reszty kościoła piękną, sięgającą aż do stropu żelazną kratą. Promienie słońca, przesiąkające przez kolorowe witraże, opalają na niej wszystkimi barwami tęczy. Powoli przesuwa się z jednego zacięcia na drugie. Krata mieni się, żyje.

Po górnej galerii, otaczającej główną nawę, snuje się jakaś siostrzyczka w powłóczystym, białym habicie. Snop światła padł przez niewielkie okno na jej smukłą, nierzadką sylwetkę. Już mignęła planem kolorowej balustrady i znikła w szarym mroku.

W łagodnym półcieniu wibruje śpiew modlitwy. Łacińskie słowa — niektóre zrozumiałe, inne zapomniane, ale nieobce. Nie potrzeba się zastanawiać nad treścią tych pień radosnych — dziś dzień zesłania Ducha św. — one są bliskie, bo powszechne, katolickie. Jednoczą wszystkich bez względu na narodowość, wytwarzają zbiorowy nastrój modlitwy.

Ala ja nie mogę

Zgon żony Shawa



Mr. i Mrs. Shaw na lunchu w pracowni Topolskiego

Nie wiedziałem o istnieniu Mrs. Shaw póki nie zostałem jej przedstawiony. Niebiańsko-parnasowa aura starego pana pięknie godziła się z anielską „au-ralenti” panią domu. Nie widziałem nigdy przedtem tak zupełnej harmonii dwojga ludzi. Atmosfera ich życia objawiła mi raz na zawsze idealny sens małżeństwa, a też (w naszej epoce pogardy i obawy przed starością) przekonała, a nawet przynagliła ku rozkoszom własnej osiemdziesiątki; chyba że dom Shawów nie był typowym domem tylko starców, ale domem starców wspaniałych.

Drugi akt „In Good King Charles's Golden Days” (ostatniej sztuki Shawa) jest przepięknym i przewrzucającym rozłożeniem ostentacyjnym spraw swoich i żony. Shaw na szkicach ilustracji, które mu posłałem, wypisywał, poza komentarzem sardonicznym: „My wife likes it” albo „My wife is delighted with it and sends her best regards to you and your lady”. Radził się jej, dzielił się z nią pomysłami, i w ostatnich czasach, kiedy Mrs. Shaw zaczęła ciężko chorować, a Mr. Shaw

przerwał pisanie dla teatru, czuło się, że to nie jemu brak sił twórczych. I kiedy w liście do mnie pisał: „We are almost too old for human society”, wiedziało się, że Shaw upiera się by dotrzymać jej wiernie kroku.

Kilka tygodni temu, kiedy odwiedziłem Shawa po dłuższej przerwie, Mrs. Shaw, o lasce, zgęstlała wół straszliwym paraliżem, wsunęła się do pokoju. Wciąż jeszcze, w najokropniejszej męce choroby, potrafiła się uśmiechać — przyszła, bo słyszała, że jestem too late for me! You must stick to G. B. S. who never grows old!”, i pytała grzecznie, czy wciąż mam tę samą pracownię. Słabiotku, z wysiłkiem bawiła rozmową o przyjaciółkach. Shaw (dopiero co krasomówczy i szeroki w gestach) siedział teraz nawprost niej postarzany nagle — żeby być jej bliższym. Długa chwila smutnej, ostatecznej ciszy; i — Mrs. Shaw: „As you see I am a wreck now”.

FELIKS TOPOLSKI.

Trzy wiersze o Polakach

Otrzymałmśmy w ostatnich czasach trzy wiersze: świadcza one o sympatii, jaką cieszą się Polacy w Wielkiej Brytanji.

LIVE AND LEARN

*Before the war in England
The average man in the street
Had hardly heard of Poland,
His ignorance was complete;
Although among the erudite
(Who really number legions)
They weren't quite certain, but thought it might
Be in Russia, or else in the Polar regions.*

*But now the war has brought a change
We're all got very Poland-minded
And we no longer think it strange
To hear young girls whom love has blinded
Exclaim with simple Scottish gloe
“Ja kocham cię” or “Dziękuję r-r-y.”*

*And we no longer stop to stare
Where, brilliant white and brilliant red,
Poland's colours take the air —
Finding themselves not seldom wed
To flags of other allied states
Whom they had not thought to embrace.
But war makes very curious mates
And England is a funny place
Where a man may say whatever is true
As long as it's not about You Know Who.*

*A Polish Dictionary's more than rare
Either for love or for money
“Ja mówię po polsku,” we all declare
“Założę nam na utrzymaniu żywotności
But though a Grammar can't be found
Still in every street of every town
Polish newspapers abound
From “Polish News” to “szmata” down
Wherever a single Pole's around.
Indeed they're sometimes so abundant
It has been said that they're redundant.*

*Be-eagled berets walk the town
And flashes red are on daily view
And death that concentrating frown
Exiled Poland looks at you.
All this we've learned that we never knew
And when at last on that brilliant day
Taking off to a flak-less blue
Our visiting eagles fly away,
So much we've seen and liked so well
I fear we shall miss you, Poles, like hell.*

MARIGOLD BRABY.

TO A POLISH FRIEND

*You, who have lost so much that made
Life lovely,
Age, well-nigh all, and in this foreign land
Know nothing of your home and of your
Kindred,
How can you hope to make us understand!*

*You say “You cannot know,” my friend we cannot,
No one can truly sense another's pain,
Till through that self-same valley he has
Travelled,
Then, only then, can he full knowledge gain.*

*But we would have you know that though our country
Has ne'er been saved 'neath the oppressor's heel,
That though we live in quietude and freedom,
Still can we sorrow for your heartache feel.*

*And we, your alien friends, pray God that somewhere
Joy may return to you at long long last,
Giving you back what now you scarce dare
Hope for,
When war's deep wordless pain is over-past.*

*Remember hope, and how she still made music
Upon her lute, with but one full-toned string,
All others broken, she with soul undaunted
Sought from the last, some melody to bring.*

*So try to journey bravely—o'er the mountains
The dawn must rise, and bring us light
Once more.*

ETTIE McMILLAN.

POLAND FAREWELL

To the Departing Polish Forces, St. Andrews, 1943

*Where a bloom rests on the countryside like
Purple clover,
Made by the light and shade of sheltering trees,
There's a cadence in the night wind like
To sighing,*

*And the quiet restlessness of unshed tears;
There's a haunting loneliness in lanes
And hidden byways,
The murmur of the lade bright laughter chills,
Its constant purr, its secret deeps and shallows
No echoes call but what its own song bears.
Poland farewell.*

*Where the dawn rests on a broadening sea
Like angel's garments
To sweep a path for the golden God of day,
Grey clouds wrap grey days like Niobe weeping,
And the heart's grey thoughts translate
them into pain;
Slow o'er remembrance th'eternal hours
Fall soft as ashes,
The gloom of wistful partings to enshroud,
Mayhap some noon's bright shafts of future
sunshine
May make eyes dark with longing smile again.
Poland farewell.*

MAUDE ROXBURGH.

*Redakcja „Wiadomości” udziela odpowiedzi
tylko w rubryce „Korespondencja”. Na odpo-
wiedzi listowne należy dołączać znaczek
pocztowy. Redakcja nie podejmuje się oceny
rękopisów.*

*Autora artykułu „System negatywny se-
lekcji” prosimy o podanie swego adresu.*

*Z prawem wyszynku trunków
LA SPERANZA
RESTAURACJA
otwarta codziennie od godz. 10 wiecz.
179, BROMPTON ROAD, S.W.3
tel.: KEN 9437*

MISCELLANEA

PRZECIW DESPOTYZMOWI

Aby uniknąć anarchii i stworzyć ład, — pisze w artykule wstępnym „Daily Mail” z dn. 8 września, — potrzebna jest przede wszystkim najściślejsza współpraca angloskono-amerykańska. Obydwa te państwa walczą o wolność narodów i jednostek. Wolność nie powstanie jednak dlatego tylko że obali się tyrania niemieckiego. Zagrozić jej jeszcze będą inne tyranie.

Dziennik przypomina że Anglia nie miała tyranii od czasów Ryszarda III, a Stany Zjednoczone w ogóle nie zaznały tyrantji. W obydwu tych państwach istnieje więc duża i nieprzerwana tradycja wolnościowa.

ŚWIĘTY SYNOD I POLITYKA

Wybór patriarchy moskiewskiego spowodował duże zainteresowanie w Londynie. „Tribune” z dn. 10 września podkreśla, że synod moskiewski stanie się ośrodkiem centralnym nie tylko dla prawosławnych rosyjskich, lecz i dla ich współwyznawców na Bałkanach i w Polsce. „Tribune” przypomina, że prawosławni stanowią ok 95% ludności Grecji, 80% — Bułgarii, 75% — Rumunii, 50% — Jugosławii i 11% — Polski. Tak więc — pisze „Tribune” — utworzenie synodu jest „jeszcze jednym ciosem politycznym, wymierzonym w walce o duszę Bałkanów”. Najwyraźniej „rząd sowiecki zabie-



rys. LOW

— Duce! Duce!

Jeśli istotnie powstać ma siła zdolna do zdławienia tyrantji gdziekolwiek podniosłaby ona głowę, możliwe to będzie tylko jeśli Anglia i Stany Zjednoczone występować będą razem.

PRAWO DO OPOZYCJI

Od dłuższego czasu toczy się ożywiona dyskusja na temat stosunku związków zawodowych do rządu, przyczem rozlega się wiele głosów doradzających robotnikom powstrzymać się od konfliktu, który groziłby im klęską. Obecnie w dyskusji zabrał głos

WYWIAD Z PREMIEREM MIKOŁAJCZYKIEM

Countess of Listowel, autorka niedawno wydanej książki „This I Have Seen”, zamieszka z „Illustrated” z dn. 10 września wywiad z premierem Mikołajczykiem p.t. „Poland's New Prime Minister”.



(„News Chronicle”)

— Wolałbym żeby moje okno miało mocniejsze kraty.

„Evening Standard” w artykule wstępnym z dn. 10 września. Dziennik uważa że partja socjalistyczna powinna podjąć energiczną walkę. „Zależy nam na utrzymaniu żywotności brytyjskich instytucji demokratycznych. Podstawą tego jest utrzymanie systemu partyjnego. Niemal każdy rząd dojdzie końcu do stanu odrętwienia jeśli nie ma przeciw sobie czynnej i czujnej opozycji, zdolnej w razie potrzeby do objęcia władzy. Nie przemawia do nas pogląd że parlament powinien być pewnego rodzaju radą stanu. Pomyśl ten powinien oburzyć każdego szczerzego demokratę. Parlament, który nie zachowuje charakteru izby dyskutującej i głosującej w sprawie najważniejszych zagadnień, musi w rezultacie spaść do poziomu Reichstagu”.

ZAGADNIENIE KOLOROWYCH

Omawiając przygody Leary Constantine'a, znanego sportowca-Murzyna, któremu kazano się wyprowadzić z jednego z hoteli londyńskich, „Manchester Guardian” z dn. 4 września pisze: „Londyn powinien być wielkim miastem imperialnym, podobnie jak starożytny Rzym. W Rzymie nie było jednak ograniczeń dla kolorowych. Imperjum francuskie zawstydza nas ponieważ wolne jest od tych objawów nietolerancji rasowej”. Dziennik podkreśla że „ludzie, pragnący narzucić naszemu społeczeństwu swe nietolerancyjne przesady, obniżają nas do poziomu hitlerowców, których idee wielają w czyn”.

NEUTRALNOŚĆ W WALCE WOLNOŚCI Z TYRANJĄ

Rząd de Valery odebrał debiet londyńskiej „Sunday Dispatch”, ponieważ pismo to zamieściło artykuł krytykujący postawę Irlandji. Był to pierwszy z cyklu artykułów, i za cenę niezamieszczenia następnych, rząd irlandzki wyraził gotowość cofnięcia zakazu. Redaktor „Sunday Dispatch” oświadcza w numerze z dn. 12 września, że nie może przyjąć oferty de Valery, gdyż oznaczałoby to wyrażenie się wolności prasy. Jest on pewny że „ludność Wielkiej Brytanji i Irlandji Północnej, że wdowy po marynarzach, którzy zginęli na północnym Atlantyku ponieważ Irlandja nie pozwala flocie brytyjskiej na używanie swoich basen”, że wszyscy oni uznają służność stanowiska pisma. Redaktor przypomina że rząd de Valery zachowuje neutralność w wojnie między wolnością i tyrantją.

MONACHJUM I ROSJA

Znany publicysta amerykański Walter Lippmann twierdzi w swej najnowszej książce „Four Winds”, że układ monachijski obliczony był na poróżnienie Niemiec z Rosją. W związku z tem w „Time and Tide” z dn. 11 września ukazał się list Petera Gurney, który podkreśla że Lippmann nie zdołał przedstawić żadnych dowodów na poparcie swej tezy. „W rzeczywistości twierdzenie jego jest zupełnym nonsensem, o czym wie każdy kto śledził wówczas wypadki”. Istotą układu monachijskiego, pisze Gurney, było odstepienie Sudetów Niemcom. Domagał się tego nawet „New Statesman” jeszcze dwa tygodnie wcześniej od „Times’a”. A chyba Walter Lippmann nie podejrzewa „New Statesman’a o nastawienie antyrosyjskie.

ZBRODNI KATYŃSKA

Niemcy wydali zbiór dokumentów oficjalnych dotyczących zbrodni katyńskiej. We wstępie znajdujemy opis odkrycia grobów, skolei idą zeznania świadków zbrodni, protokoły komisji lekarskich, fotografie, wreszcie lista 4143 zidentyfikowanych zwłok. Osobno omówiono odcinanie rąk polskich do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz akcję Polskiego i Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

Jak wiadomo, w komisji międzynarodowej, która przeprowadzała sekcję szeregu zwłok w grobach katyńskich, brali udział profesorowie medycyny sądowej następujących uniwersytetów: Gandawa (dr. Speleers), Sofia (dr. Markov), Kopenhaga (dr. Tramsen), Helsinki (dr. Saxon), Neapol (dr. Palmieri), Zagrzeb (dr. Miloslavici), Groningen (dr. de Burlet), Praga (dr. Hajek), Bukareszt (dr. Birkle), Genewa (dr. Naville), Bratislava (dr. Subik), Budapeszt (dr. Orsos), oraz dr. Buhtz (Wrocław) z ramienia niemieckiego dowództwa naczelnego i dr. Costedost z ramienia rządu francuskiego.

BERLIN O OŚWIADCZENIU MINISTRA KOTA

Celem wyjaśnienia wątpliwości, jakie mogłyby nasunąć się w związku ze znanym oświadczeniem ministra Kota w sprawie sobotażu, uprawianego w Polsce, jak również w kwestii bezpośrednich konsekwencji tegoż — wysocy lekko myślni oświadczenia, cytujemy poniżej słowa Braun von Stumma, nadane przez Berlin dn. 30 kwietnia b.r. o godz. 12.50. Niemcy mówią wyraźnie, że ze strony polskiej dostarczono im argumentów, usprawiedliwiających stosowanie represyj. Oto tekst według oficjalnego nadsłuchu:

„Na dzisiejszej konferencji prasowej, Braun von Stumma, omawiając szczegóły zbrodni katyńskiej, zaznaczył m. in.: „Chciałbym również wskazać na to, że jeżeli zmuszeni byliśmy dorywczo do stosowania surowych środków w Polsce, działało to nie bez powodów, oraz że ze strony nieprzyjacielskiej dano nam na to argumenty (Belege). Chcę np. przypomnieć oświadczenie Kota, w którym czytaliśmy: „W ciągu jednego miesiąca działalności partyzanckiej uszkodzono na siłę wojskową”. Zdaniem tygodnika, ludność Bałkanów spoglądał będzie raczej w stronę Moskwy niż Zaeohodu.

ŻYDZI A POLSKA

Komitet zagraniczny Reprezentacji Żydostwa Polskiego w Tel-Awivie, grupującej wszystkie polskie stronnictwa syjonistyczne oraz „Agudy”, wysłał do Konferencji Żydów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej telegram, podkreślający konieczność dalszej intensywnej walki żydostwa amerykańskiego o uratowanie resztek Żydów w Polsce. W telegramie tym Reprezentacja m. in. powiada: „...my także oczekujemy, że w nowym świecie powojennym, a także i w Polsce, która jak wierzymy, wyjdzie, z tej wojny zwycięska, cała, wolna i niepodległa i oparta na zasadach prawdziwej demokracji, również Żydzi będą mieli pełne prawa obywatelskie i narodowe”.

MALARZE POLSCY

W WIELKIEJ BRYTANII

Artystów polskich spotyka się zwiedzając wystawy sztuki w Londynie i na prowincji dość często. Tak więc w Royal Academy, w Leicester Gallery, w Legera czy u Coolinga oglądać można prace Gotliba, Kosowskiego, Potworowskiego, Topolskiego, Żuławskiego. W Liverpoolu urządziła galeria miejska wystawę zbiorową młodego i niewątpliwie zdolnego studenta architektury i malarza Faczyńskiego. The Society of Scottish Artist uchwaliła zaprosić na swą 49-tą doroczną wystawę w Edynburgu czterech „honorowych” gości: dwóch malarzy francuskich, Bonnard i Utrilla, i dwóch polskich, Gotliba i Potworowskiego. Delegat instytucji, znany malarz szkocki Mac Taggart, wysłany specjalnie do Londynu, dokonał na miejscu wyboru obrazów, które znajdą się na wystawie w Edynburgu.

PORADNIK DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC

Ukazał się nr. 36 „Poradnika dla Pracowników Światlic Żołnierskich”, wydawnictwa Polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanji. Numer, poprzedzony wstępem Bolesława Leitgebiera, „Polska i Wielka Brytanja”, poświęcony jest kulturze angielskiej.

KURS OPIEKI SPOŁECZNEJ

W Londynie zorganizowano wieczorowy kurs opieki społecznej. Kurs trwać będzie od dn. 28 września do dn. 16 grudnia. Wykłady w języku angielskim odbywać się będą dwa razy tygodniowo. Zgłoszenia na kurs kierować należy do ministerstwa pracy (62-64, Brook St., W.1).

KURS PRACY SPOŁECZNEJ KOBIET

Dn. 22 listopada będzie uruchomiony w języku angielskim czteromiesięczny kurs pracy społecznej kobiet. Zgłoszenia na kurs przyjmują do dn. 15 października ministerstwo pracy (62/64, Brook Street, London, W.1). Do zgłoszenia należy dołączyć życiorys z podaniem wieku, wykształcenia i przebiegu dotychczasowej pracy zawodowej i społecznej. Pewnej liczbie kandydatek ministerstwo udzieli stypendjów na pokrycie kosztów utrzymania oraz opłat za kurs.

OFIARY

Zamiast kwiatów na trumnę s.p. kpr. pchr. Jerzego Szylinga, 43 10s. składają na pomoc jeńcom polskim w Niemczech — koledzy.

Zakończona w r. 1882
RESTAURANT des GOURMETS
Kuchnia kontynentalna z prawem wyszynku
Zapas przednich win francuskich
47, 48 & 49, Lisle Street, Leicester Square, W.C.2
tel. GERARD 5511

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C.2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C.1.

„Wspaniały gest 1 września”

B.B.C. ucieło w sposób niezmiernie piękny i pomysłowy piątą rocznicę wybuchu wojny, oddając hold Polsce, jej woli niezłomnej i jej nieustannej walce. Przyklasnąć trzeba autorowi czy autorem długiego, lecz niezmiernie interesującego słuchowiska, w którym umieli połączyć oświadczenia polityków i meżów stanu, tak polskich jak brytyjskich, z głosami polskich marynarzy, lotników, żołnierzy, oraz ich brytyjskich kolegów czy dowódców. Nie brakło również głosu Kraju i jego podziemnych bojowników, jak nie brakło pieśni, stanowiących to naprawdę doskonale i nastrojowe.

Całość audycji objęła krótkie słowo wstępne o czterech latach wojny, dalej gorące i serdeczne oświadczenie ministra spraw wewnętrznych Herberta Morrisona, który, tak oszczędnie i tak chłodny zazwyczaj w swych wypowiedziach, tym razem nie skąpił słów pełnych entuzjazmu, a mówiąc o „wspaniałym gescie 1 września”, witał i pozdrawiał przyszłą Polskę, silną, niepodległą, „dobrego sąsiada i przyjaciela wolności”. Na część bojową audycji złożyły się słowa polskiego i brytyjskiego marynarza, świadczące o braterstwie broni, o wzajemnej przyjaźni i zaufaniu. Lotnictwu polskiemu, jego udziałowi w walce o Wielką Brytanię, jego heroicznym wysiłkom oddał piękny hold Lord Downing, poczem mówił polski pilot i mówił Air-Marshall, Sir Stafford Leigh Mallory, który oświadczył, że „żaden do-

wódca nie może mieć lub nawet marzyć o żołnierzach lepszych czy też ożywionych duchem bardziej bojowym od polskich pilotów myśliwskich”.

Następnie odezwał się żołnierz polski, który brał udział w obronie Tobruku, w walkach pod Bardia czy Bengazi, ujmując całość polskiego wysiłku zbrojnego, od września, od obrony Warszawy, poprzez Norwegię, poprzez Afrykę, aż do dnia dzisiejszego. Niezmiernie szczęśliwym pomysłem było włączenie do słuchowiska głosu oficera armji Stanów Zjednoczonych, Polaka z pochodzenia, równie jak i głosu pułkownika brytyjskiego, który serdecznie i z uznaniem podkreślił rolę wojsk polskich, przebywających w Szkocji.

Następnie, oddano głos Krajowi, i usłyszeliśmy zapewnienie walki nieustannej aż do zwycięstwa, którą prowadzi i prowadzić będzie polski front podziemny. Premier Mikołajczyk, przemawiając po polsku i angielsku, stwierdził, że Polacy spełnili i spełniają swój obowiązek, gdyż bronią Ojczyzny i składają największe ofiary na ołtarzu wolności, sprawiedliwości i cywilizacji, dla dobra i szczęścia całej ludzkości, której narzucić chciano panowanie zła, gwałtu i niewaści.

Zakończył słowami „Jeszcze Polska nie zginęła”, a chór odśpiewał hymn polski i brytyjski, zamykając niemi to naprawdę pięknie i w najlepszym znaczeniu „propagandowe” słuchowisko.

